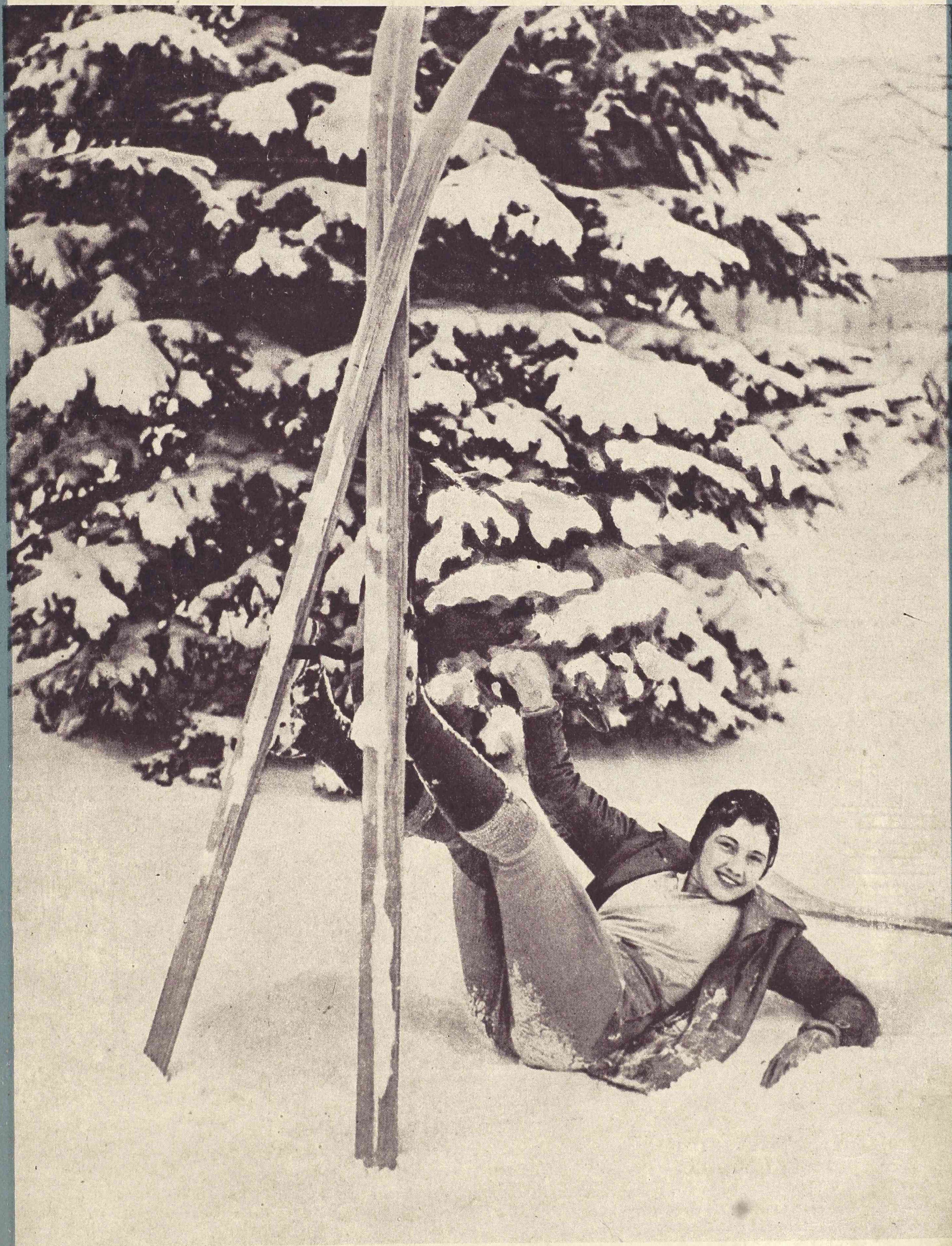
ŚWIAT

•III 1932

Nr. 1



NIEGROŹNY UPADEK

„Associated Press Photo"

HUMOR

W więzieniu.

Naczelnik przydziela więźniom zajęcie stosownie do ich zawodu.

— Czem pan był przed wyrokiem? — pyta jednego z nich.

— Kompozytorem przebojów.

Na to naczelnik, zwracając się do inspektora:

— Proszę więc go zatrudnić przy przepisywaniu aktów. Jest w tej dziedzinie fachowcem.

⁂

Sędzia (do złodzieja kieszonkowego): — Czemu się tak przyglądasz moim rękom?

Złodziej: — Ach, panie sędzio, gdybym to ja miał takie długie palce, jak pan!

⁂

— Wiesz, Golski jest poprostu nędzarzem.

— Czyżby?

— Wyobraź sobie: mieszka w tak małym pokoiku, że gdy słońce wchodzi przez okno, on musi wyjść.

⁂

— Dlaczego pan jest taki smutny?

— W tem miejscu właśnie utopiła się moja pierwsza żona.

— Niech pan o tem nie myśli. Wszak teraz ma pan drugą żonę, taką miłą...

— Cóż z tego? Kiedy ona wcale nie chce kąpać się w rzece.

⁂

— No, jakże tam ruch w interesie, panie Handelkiewicz?

— Dziękuję — tak sobie. Zaraz po otwarciu sklepu pewien klijent zamienił spinki, które wczoraj kupił, potem trzy osoby pytało się o ceny, no ale po południu to się trochę uspokoiło.

⁂

Matka: — Znowu czytasz jakąś miłosną historję.

Córka: — Ależ bynajmniej, to jest historja małżeńska.

⁂

Z podręcznika historji.

„Istnienie króla assyryjskiego, Chaszura, jest wogóle bardzo wątpliwe. Wiemy natomiast z całą stanowczością, że syn jego Elpur żył między 830-tym a 780-ym rokiem przed Chrystusem".

HUMOR KRAJOWY



NA ULICY WIEJSKIEJ

— Czy będzie większość dla pańskiego projektu?

— Tego napewno nie wiem; ale mogę zaręczyć, że będzie za nim nasza mniejszość.

HUMOR ZAGRANICZNY



Koncert narodów pokojowych, zebranych na Konferencji rozbrojeniowej.

(„Notenkraker")

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVII **ŚWIAT** NR. 11

WARSZAWA, DNIA 12-go MARCA 1932 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Po „Tygodniu Książki"

Dyskusja na temat małej pokupności książki polskiej nie schodzi w pismach z porządku dziennego. Smutny bowiem ten objaw jest przedewszystkiem dowodem systematycznego obniżania się naszej kultury duchowej, — nawet uwzględniając łagodzące okoliczności w postaci kryzysu ekonomicznego. Pozatem pociąga za sobą upadek materjalny wydawców, księgarzy i autorów.

Dotychczas jednak w sprawie tej zabierali głos wyłącznie wytwórcy duchowi i materjalni słowa drukowanego. Nie odezwał się nikt ze sfery, która właściwie decyduje o powodzeniu książki: z pomiędzy czytelników - nabywców.

Należę do ludzi, którzy lubią książki, stale je kupują i chętnie tworzą prywatną bibljotekę. Nawet przy obecnem ciężkiem położeniu materjalnem wolę kupić książkę, niż pożyczać brudną i obszarpaną z czytelni. Jestem więc typem społecznym, który — o ileby się rozpowszechnił — mógłby do pewnego stopnia zażegnać katastrofę finansową książki polskiej.

Niestety, przeglądając moje rachunki, widzę, że książek polskich kupuję coraz mniej. Oczywiście nabywam dzieła cenne, w rodzaju „Świat powojenny i Polska" Dmowskiego, ale rezygnuję coraz więcej z t. zw. belletrystyki, która właściwie jest podstawą bytu księgarzy a pośrednio i autorów.

Dlaczego?

Nie chcę tu poruszać treści wydawnictw nowoczesnych, choć dałoby się na ten temat bardzo dużo napisać. Bo, gdybym wygłosił zdanie, że olbrzymia większość powieści jest śmiertelnie nudna, jałowa, niedołężnie zbudowana, albo siląca się na oryginalność przez paradoksy, wkroczyłbym na teren krytyki literackiej, do czego nie mam prawa. A zresztą mógłby mi ktoś odpowiedzieć, że nie to ładne co ładne, ale co się komu podoba, czego zresztą dowodzi powodzenie utworów różnych grafomanek z pod najciemniejszej gwiazdy. „Dzieła" te, odbijane podobno w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, czytają z zapartym oddechem pewne sfery. Nie będę więc omawiał tego rodzaju „literatury", tembardziej, że nie jestem takim grubjaninem, jak pewien pesymista, który doczytawszy się w takim płodzie niewieściego pióra, że bohaterka jest „okrągła sierota", mruknął: „a autorka jest naokoło idjotka" i rzucił książkę.

Ale... biorę oto do ręki tom pisarza nietyle wielkiego, ile szeroko reklamowanego, i znajduję w nim takie kwiatki: „tłum werwał się do sali", „leżeli w nieprzymuszonych pozach", „idee przykryte rewolucyjnemi hasłami" i t. d. Inny znów stary i doświadczony autor książek dla młodzieży potrafi w najświeższem dziele napisać: „wargi i policzki spękały się tak, że przez szczeliny wyglądało żywe ciało". A trzeci pisarz uważa, że wszystko jest w porządku, gdy napisze: „kula strzaskała czeluść" (ma to być szczękę").

Gdzieindziej znów w utworze znanego nowelisty czytam, że komuś „serce skoczyło do gardła". Jest to przeszczepianie niewiadomo po co wyrażenia angielskiego

„the heart sprang into the mouth". Po polsku mówi się: „dusza siadła na ramieniu", albo „uciekła w pięty".

Pozatem wszystkie utwory roją się od wyrażeń w stylu: „oddał parę strzałów", „nieudały napad", „sokoli ćwiczyli na trapezie".

Co to wszystko znaczy? Czyż po za kilkoma mistrzami pióra nikt w Polsce nie umie pisać po polsku? Tak pisanych książek ani się do rąk nie bierze powtórnie, ani też nie przechowuje się w bibljotece!

Uwagi powyższe odnoszą się do dzieł oryginalnych polskich, pisanych przez autorów uważających się za gwiazdy piśmiennictwa polskiego.

Gdybym zaś sięgnął do repertuaru drobiąt literackich, których elukubracje jednak są wydawane i zawalają półki księgarskie, mógłbym napisać tomik humorystyczny w stylu Magdaleny Samozwaniec.

To samo tyczy się przekładów. Przerażenie może ogarnąć trochę więcej krytycznego czytelnika, gdy bierze do ręki egzemplarz jakichś skandalicznych bzdurstw, na których druk znajdują jednak wydawcy pieniądze. O języku polskim tych „dzieł" nie będę wspominał, bo dość o tem pisano.

A teraz zajmijmy się stroną zewnętrzną książki. Pomijam zupełnie kwestję dobroci papieru, druku, rycin, bo to są rzeczy przejściowe. Obecnie jesteśmy w nędzy, nie stać nas na lepsze wydawnictwa, nie możemy więc żądać od księgarzy, ażeby nawet dobre prace drukowali inaczej, niż w postaci książeczek po 1 — 95, tłoczonych na bibule.

Ale, jako bibljofil, mam prawo wymagać od pp. wydawców, a pośrednio zecerów, ażeby książka była drukowana normalnie. To znaczy, ażeby po stronicy 27 następowała 28 a nie np. 34, ażeby wiersze nie były poprzestawiane, kartki w środku książki nie podarte i nie poplamione. Tymczasem tego rodzaju wady można stwierdzić w jednej trzeciej książek. Odsetek trochę zaduży.

Na zakończenie kilka słów o handlu księgarskim. Wszyscy bolejemy, że ten dział, tak ważny pod względem kulturalnym, źle idzie, ale nie można patrzeć pobłażliwie na różne figle mądrości wydawniczo-księgarskie, które, choć pod względem prawnym nie są oszustwem, ale bardzo blisko z niem graniczą. Postaram się to wyjaśnić w sposób poglądowy.

Przypuśćmy, czytelniku, że udajesz się w podróż koleją, która ma trwać 6 — 8 godzin. Bardzo miło jest mieć wtedy tomik niezbyt poważny do czytania. Wchodzisz więc do księgarni i ze stołu, założonego setką różnych dzieł, wybierasz, no, dajmy na to „Zielonego Aniołka". Księgarz milczy, bierze 9 zł., zawija książkę w papier. Następuje dopiero przykre rozczarowanie, kiedy w pociągu przekonasz się, że „Zielony Aniołek" jest środkowem ogniwem trylogji, której tomem pierwszym są „Skaczące małpeczki", a zakończeniem „Na odwrót". Bo, nie mówiąc już o tem, że najgłupszej książki nie można czytać od środka, nabywca decyduje się na wydatek 9 złotych, a stanowczo nie życzy sobie wydawać 27.

Inne przykłady w tym stylu są jeszcze drastyczniejsze. Znany jest kawał wydawniczy jakiegoś spekulanta, który przekład polski nędznej ramoty włoskiej wydał pod firmą ...Blasco Ibaneza. Inny znów puścił w świat doskonałą powieść Herczega „Gyurkowiscowie", ale bez ostatniej części. Sam niedawno kupiłem przekład noweli Caina, który już miałem w bibljotece, wydany pod zmienionym tytułem i w innym formacie. Podobnych przykładów możnaby przytoczyć bardzo wiele.

Musimy więc dojść do wniosku, że sprawy literacko-wydawniczo-księgarskie wymagają jakiegoś uzdrowienia. Może wydawcy, rzucając na rynek różne ramoty licho pisane lub tłómaczone, niedbale wydane, byleby sensacyjne, chcą zdobyć czytelników w szerokich masach. Z punktu widzenia wyłącznie handlowego można to zrozumieć, bo przecież senniki egipskie i wypociny umysłowe różnych „poczytnych autorek" napewno przyniosą większy zysk, niż poezje Tetmajera. Ale takie demagogiczne ujmowanie księgarstwa pociągnie za sobą niewątpliwie zwyrodnienie poczucia estetycznego publiczności i utratę inteligentnej klienteli.

Dr. Bronisław Bartkiewicz

Kandydaci na stanowisko prezydenta Rzeszy Niemieckiej


PREZYDENT P. V. HINDENBURG


ERNST THÄLMANN


ADOLF HITLER


TEODOR DUESTERBERG

Z pobytu J. Em. X. Kardynała Kakowskiego w Rzymie



J. Em. X. Kardynał Kakowski wśród kleryków Kolegjum Polskiego (Księży Zmartwychwstańców), którego alumnem sam był przed 48 laty (Fot. X. Tadeusz Olejniczak, Rektor)

Nowe państwo Mandżurskie: Pu-Yi, pretendent do tronu chińskiego, stanął na czele państwa Mandżurskiego, które zostało ufundowane przy pomocy oręża japońskiego Fot. „Associated Press"



11)

CUD Z KARBIDEM

Po dwóch dniach odpoczynku, urozmaiconym małym wypadem na antylopy „Eland" dla zaspokojenia kuchennych potrzeb, postanowiłem zapolować na trzeciego, tym razem ostatniego słonia. Dużo słyszałem o polowaniu z naganką, dotąd jednak nigdy w podobnem pędzeniu udziału nie brałem.

Po naradzie z Izydorem, który nabrał dużego respektu dla mej pewnej ręki i celnego oka, kazałem zawiadomić mego sąsiada — króla Narugu Moznar'a, że będę zaszczycony jego wizytą w ważnych a niecierpiących zwłoki sprawach. Stawił się szybko w otoczeniu kolosalnych „tuku-tuku", oraz kilkunastu żon i z nieprzeliczoną chmarą czarnych jak smoła bachorów. Radość mojej czarnej towarzyszki była wielka, gdy nagle ujrzała tylu miłych gości; wnet pokazywać chciała wszystko, co miałem zamkniętego w walizach, częstować wszystkich memi papierosami, oraz zapraszać „duku-jaki", t. j. swe siostry, do namiotu. Ukróciłem te czułe wybryki i całe towarzystwo siadło przed namiotem w gracji pełen wianuszek. Zaczęły się żmudne narady, przerywane okrzykami i szaloną gestykulacją. Wreszcie porozumiałem się z Narugu i jego ludźmi, obiecując im dużo mięsa, o ile wyprawa się uda. Szło o to, aby jaknajwięcej czarnych do naganki zwerbować, obłożyć dużą przestrzeń i, nie myląc się w kierunku, pognać słonia na weksel zgóry oznaczony. Miejsce to, o 8-em godzin drogi od obozu odległe, znajdowało się w dużym parowie, w głębi którego płynął wartki, choć płytki potoczek, obfitujący w czasie deszczów w wody, dokąd słonie i cała okoliczna fauna szła do wodopoju.

Paru ludzi (pisteur'ów), którzy okolicę dobrze znali, miało mnie tam najprzód zaprowadzić, poczem, objąwszy dowództwo nad wszystkimi murzynami wioski, pokierować umiejętnie naganką, bacząc, aby słonie, których się spodziewałem, nie uszły w inne miejsce bokiem, lecz właśnie koło wodopoju. Po parogodzinnych rozhoworach i powtarzaniu kilkadziesiąt razy tego samego wkoło, zdawało mi się, że zrozumiano mnie dokładnie i z tem przeświadczeniem pożegnałem czarnych oraz króla, któremu ofiarowałem szklankę whisky. O wschodzie słońca miała cała wyprawa stanąć gotowa do marszu przed moim namiotem. Niezmiernie zadowolony z wyniku obrad, zasnąłem tej nocy snem sprawiedliwego, ciesząc się myślą o oryginalnych łowach.

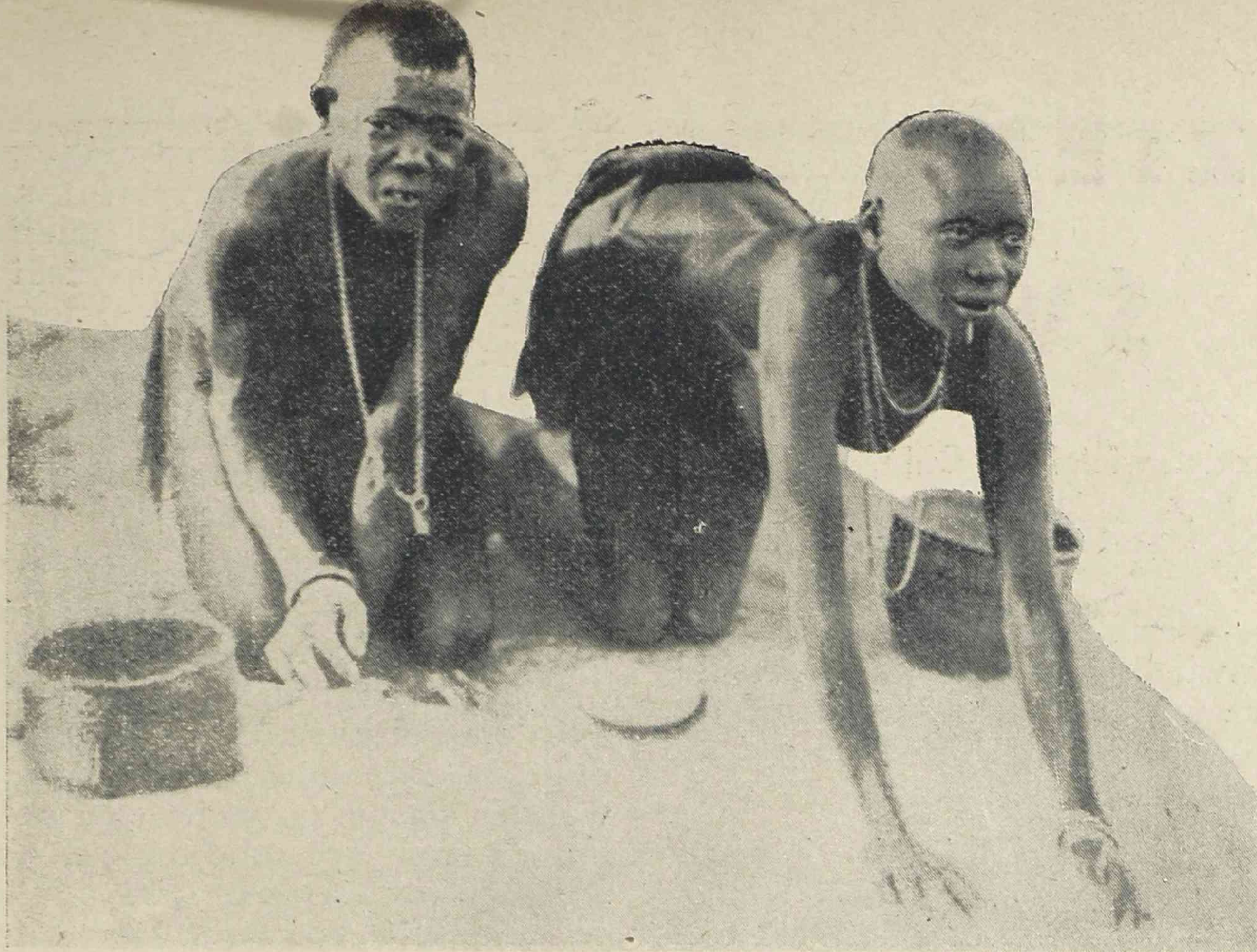
Było jeszcze ciemno, gdy boy przyniósł mi ranną herbatę, którą zazwyczaj piłem przed wstaniem, aby otrzeźwieć trochę po ciężkiej, tropikalnej nocy. Jakież było moje zdziwienie, gdy w godzinę po wschodzie słońca ani jeden człowiek nie stawił się do apelu. W najwyższej pasji posłałem Izydora z karabinem, aby niezwłocznie przybył Narugu wraz z ludźmi i wytłomaczył, co się stało. Po długiem oczekiwaniu wrócił Izydor, jednak sam i opowiedział, że Narugu odmawia dania mi ludzi, bom go wczoraj zaklął i „Mlojsi", t. j. wielki duch, nawiedził go w nocy, zabraniając oddawania usług białemu człowiekowi.

Domyśliłem się wnet, o co chodzi: j. k. mość po wypiciu whisky, a mając, jak wszyscy zresztą murzyni, słabą głowę, urżnął się dokładnie i po pijanemu przyśniły mu się różne banialuki. Znając psychologję czarnych, doszedłem do przekonania, że tym razem siłą z nimi nic nie wskóram, tylko i jedynie podstępem. Czary na czary! Zaopatrzywszy się więc w kilka kawałków karbidu, którego używałem do wielkiej lampy polowej, zabrawszy Izydora i wszystkich moich ludzi, kazałem się zanieść w tipoy'u do siedziby królewskiej. Przy pomocy Izydora oświadczyłem mu, że jego duchy nic nie są warte, że „Mlojsi"—wielki duch białych— jest potężny i może cuda niebywałe czynić, i jeżeli on — Narugu Moznara— sprzeciwiać się będzie woli ducha białych, odmawia posłuszeństwa, to on, Narugu, jego dwie najlepsze żony oraz ostatnio urodzone dziecko zginą nikczemną śmiercią, obrócą się w popiół i zgładzeni zostaną na zawsze z powierzchni ziemi.

Tępym wzrokiem krwią nabiegłych oczu spoglądał na mnie podejrzliwie, wreszcie, wzgardliwie podniósłszy ramiona, oświadczył



KRÓL STAWIŁ SIĘ W OTOCZENIU KILKUNASTU ŻON I Z NIEPRZELICZONĄ CHMARĄ CZARNYCH JAK SMOŁA BACHORÓW



NA TWARZACH CZARNYCH ODMALOWAŁO SIĘ ZDUMIENIE, LĘK I PODZIW...

Izydorowi, że mi nie wierzy. Miałem wielką ochotę porachować kości J. K. M., lecz nie była po temu pora. Od wygranej sytuacji zależała pomyślność „safari", to też spokojnie starałem się dowieść prawdziwości moich słów.

Przed królem położyłem dziesięć kamyków, między któremi cztery kawałki karbitu. Te dziesięć kamyków miały przedstawiać jego, oraz rodzinę najbliższą. Z pomiędzy dziesięciu osób — cztery Wielki Duch obróci w popiół również prędko i skutecznie, jak te kamienie spali woda, lana ręką białego człowieka. Po wypowiedzeniu kilkunastu zdań w polskim języku, wymachując w powietrzu rękoma, zmieniwszy swą twarz w maskę grozy i ohydy, złapałem garnek wody na ten cel przygotowanej i polałem energicznie kamienie, z których cztery rzeczywiście z szumem i sykiem obróciły się w szary popiół. Eksperyment udał się świetnie, na twarzach czarnych odmalowało się zdumienie, lęk i podziw dla białego cudotwórcy. Wygrałem tym razem na całej linji. Nie chcąc tracić na powadze, momentalnie po cudzie siadłem znów do tipoy'a i szybko oddaliłem się od siedziby królewskiej, szepnąwszy uprzednio Izydorowi, aby od siebie namówił Narugu do osobistego stawienia się u mnie w obozie i do przeproszenia za złamanie słowa. Skutek był taki, jakiego sobie życzyłem: ledwiem stanął na miejscu, już cała horda z królem na czele zaległa mój obóz, a Narugu, dość zakłopotany i z przedziwnie głupią miną, oświadczył Izydorowi, że póki żyć będzie, nigdy nie oszuka białego człowieka.

Udając wielki gniew, dałem się przebłagać i następnego dnia kazałem stawić się, skoro świt, całej czarnej hordzie, jak to było umówione. Tymczasem poleciłem im momentalnie wynosić się, nie dawszy nawet sposobności ani czasu do zwykłych czołobitności, a w duchu pękając ze śmiechu nad łatwowiernością tych prymitywnych istot.

Następnego ranka, ledwie słońce zrównało się z horyzontem, już około namiotu usłyszałem liczne głosy, skowyt małych piesków, używanych do polowania, a po chwili Izydor przez płótna namiotu oznajmił, że przeszło „siedem tuzinów", „bantu moisi" *) czeka na mnie.

Dobrze przed zachodem słońca stanąłem w pięknej miejscowości, porosłej świeżą trawą, wybujałą po deszczach, oraz tu i owdzie kępami drzew dracenowych, akacji karłowatej, specjalnego gatunku niskich palm i wielkich paproci.

(d. c. n.).

*) „bantu moisi" — czarni ludzie.

Zgon Aristida Brianda

Nagła śmierć wielkiego polityka francuskiego bardziej zaskoczyła Europę, niż jego ojczyznę. W Paryżu zdawano już sobie oddawna sprawę z ciężkiego stanu zdrowia Brianda i zrezygnowano na początku r. b. z jego udziału w rządzie, mimo doniosłości Konferencji Rozbrojeniowej i trudności, w jakich znalazła się Liga Narodów wskutek konfliktu na Dalekim Wschodzie. W opinji cudzoziemców, a zwłaszcza w Genewie, wciąż jeszcze oczekiwano powrotu na arenę polityczną męża stanu, który złączył swe nazwisko z organizowaniem i utrwalaniem pokoju świata.

Dziwna bowiem metamorfoza zaszła w latach wojny w psychice Brianda. Jego temperament bojowy, który kazał mu u progu karjery politycznej być propagatorem rewolucyjnego hasła strajku powszechnego, potem, jako ministra, pchnął do złamania siłą ruchu strajkowego kolejarzy i do przeprowadzenia ostatecznego rozdziału kościoła od państwa, w drugiej połowie życia użyty został całkowicie i wyłącznie do przeprowadzenia pacyfikacji Europy. Stał się on „ojcem Locarna" i otrzymał nagrodę pokojową Nobla.



ARISTIDE BRIAND

Zmarł znakomity Francuz i wielki Europejczyk.

Ś. p. ks. biskup Bandurski

W Wilnie zmarł wskutek ataku sercowego ks. biskup Władysław Bandurski, b. sufragan lwowski, biskup polowy Legjonów, naczelny kapelan wojsk Litwy Środkowej, od dłuższego czasu osiadły w grodzie Gedyminowym.

Ks. biskup Bandurski słynął z krasomówstwa i gorącego patrjotyzmu. On to



KS. BISKUP WŁ. BANDURSKI

podczas wyodrębniania Chełmszczyzny zainicjował w Małopolsce akcję na rzecz prześladowanej ziemi i wydał płomienną odezwą „Brońmy opornych".

Największą jednak popularność zyskał sobie czasu wojny, stając demonstracyjnie w obozie legjonowym i stale wypowiadając się za polityką marszałka Piłsudskiego.

W tym roku obchodził 25-lecie sakry biskupiej. Pogrzeb ś. p. biskupa Bandurskiego odbędzie się na koszt państwa z udziałem kilku ministrów.



TYDZIEŃ ŚWIATA

(sk) Liga Narodów pracuje gorliwie nad umocnieniem wszechświatowej harmonji. W Europie wszyscy zdają się pragnąć pokoju. P. Tardieu występuje z projektem armji międzynarodowej, którąby — niczem straż ogniowa pożar — gasiła wszelkie zatargi już w zarodku. Międzynarodowe zjazdy i kongresy starają się zohydzić wojnę, jako zbrodnię przeciw ludzkości. Lecz równocześnie, gdy mimo wszystko wybucha konflikt między Chinami a Japonją, taż sama Europa skwapliwie dostarcza japończykom amunicji i broni. Karabiny maszynowe jadą z Niemiec na Pacyfik, jako fortepiany; kwas siarczany, potrzebny do wyrobu materjałów eksplozyjnych, traktowany jest, jako poczciwy artykuł eksportowy pierwszej potrzeby. Bomby i granaty jadą w skrzyniach od czekolady. Zresztą nietylko przemysł niemiecki stanął ochoczo do apelu. Czechosłowacja nie pozostała w tyle. Inne państwa umieją zapewne dyskretniej prowadzić tego rodzaju interesy.

Pomaga się oczywiście tylko Japończykom. Albowiem Chińczycy nie mają pieniędzy, a yen jest wysokocenną walutą. Chińczycy nie mają pieniędzy, więc nie zasługują na pomoc.

I wszystko dzieje się jak najlepiej na tym najlepszym świecie. Czcigodny synhedrjon mężów stanu radzi w dalszym ciągu w Genewie nad zapewnieniem ludzkości pokoju i sprawiedliwości.

. . . .

(V.) Na posiedzeniu komisji głównej Zgromadzenia Ligi delegaci piętnastu państw ostro atakowali postępowanie Japonji, domagając się poszanowania nienaruszalności terytorjum, przestrzegania traktatów i trzymania się zasady, że nikt sam sobie nie może wymierzać sprawiedliwości.

Dr. Sato, pierwszy delegat Japonji, siedział jakby na cenzurowanem. Gdy odezwał się, zaprzeczając faktom, rozległy się śmiechy i syki. Wreszcie wbrew jego protestom uchwalono rezolucję, żądającą dotrzymania rozejmu i wycofania wojsk japońskich z Chin.

Po skończonem posiedzeniu delegaci różnych państw winszowali przedstawicielowi Chin, dr. Yen'owi, zupełnego zwycięstwa.

Słysząc to, dr. Sato rzekł zjadliwie:

— Przynajmniej istnieje pewna sprawiedliwość: on odnosi zwycięstwa w Genewie, my w Szanghaju. W ten sposób każdy może być zadowolony.

. . . .

(Wig.) Ignacy Daszyński, b. marszałek Sejmu, obchodził w tych dniach 35-ciolecie pracy parlamentarnej. Pierwszy wybór jego do austrjackiego Reichsratu nastąpił w marcu 1897 roku, po wprowadzeniu V-ej kurji. Wybór to był istotnie tryumfalny. Na 29.750 upoważnionych do głosowania przeszło 22 tysiące głosów padło na Daszyńskiego, gdy kandydaci konserwatystów i ludowców mieli po 3 tysiące głosów. W ten sposób wyraziło się niezadowolenie szerokich warstw ludności z dotychczasowych kierowników politycznych.

W parlamencie, który po raz pierwszy ujrzał posłów socjalistycznych w liczbie 15, w czem 7 Niemców, 6 Czechów i 2 Polaków, Daszyński został przewodniczącym frakcji i od pierwszego dnia rozpoczął ostrą opozycję przeciwko rządowi, na którego czele stał hr. Badeni. W ten sposób dwaj Polacy starli się na gruncie wiedeńskim, jako śmiertelni wrogowie. Pojedynek rozegrał się w końcu listopada 1827 r. na posiedzeniu, któremu przewodniczył trzeci Polak — Dawid Abrahamowicz. W walce o regulamin Izby 15 socjalistów opanowało trybunę prezydjalną, zerwało posiedzenie i wyparło przewodniczącego. „Na jego miejscu stoję ja — opisuje p. Daszyński w swych pamiętnikach — i grożę ciężkim, mosiężnym przyciskiem wiceprezydentowi Izby, drowi Kramarzowi, który się zbliża z dołu do trybuny. Dokoła mnie towarzysze obsadzają schodki boczne".



I. DASZYŃSKI NA TRYBUNIE

Tak zaczął trybun socjalistyczny swą bujną karjerę parlamentarną. I po latach, jakby chcąc usprawiedliwić zażartą walkę w Wiedniu z Kołem Polskiem, tłumaczy odrzucenie zasady solidarności narodowej na obcym gruncie: „W czem Polacy mieli być solidarnymi? Czy w ugodowej i dynastycznej polityce? Czy w wyrzeczeniu się niepodległości? Czy w spokojnem znoszeniu nadużyć władz?"

Ale gdy nadeszły lata bezpośredniej walki o wskrzeszenie Ojczyzny, „straszny socjalista" Daszyński stanął w jednym szeregu z konserwatystami i ludowcami i oddał nieocenione usługi młodemu państwu polskiemu, aż zajął w niem stanowisko wicepremjera podczas najazdu bolszewickiego i fotel marszałka Sejmu w trudnych czasach walki władzy wykonawczej z ustawodawczą.

Wtedy nieraz sobie zapewne przypominał zaranie swego posłowania, gdy 80 policjantów w pełnem uzbrojeniu wkroczyło na wezwanie Badeniego i Abrahamowicza do parlamentu i wynosiło z sali posłów opozycyjnych.

. . . .

(Old) Nasza „dobrze poinformowana prasa" w najważniejszych sprawach podaje fałszywe wiadomości. Doniosła naprz., że marszałek Piłsudski udaje się do Rumunji celem objęcia szefostwa 16-go pułku piechoty, nadanego mu przez króla Karola. Niektóre, „lepiej poinformowane pisma", dodały, że potem Marszałek wyruszy na statku polskim „Niemen" w podróż do Palestyny.

Tymczasem okazuje się, że odwiedzenie 16-go pułku piechoty wcale nie leżało w planie; poselstwo polskie w Bukareszcie ani rząd rumuński nie były uprzednio zawiadomione o terminie przejazdu Marszałka i dopiero po wyjeździe jego z Warszawy wysłano odpowiednie depesze. „Niemen" zaś wyruszył wprawdzie na morze Śródziemne, ale w jakimś innym celu, gdyż marszałek Piłsudski

wsiadł na okręt „Romanja" w Konstanzy i przez Konstantynopol — Pireus — Aleksandrję, nigdzie nie zatrzymując się, udał się do Kairu.

Towarzyszą mu w drodze te same osoby, które były zeszłego roku na Maderze: pułkownik - lekarz Woyczyński i kapitan Lepecki.

. . . .

(R.) Nasz „Pen-Klub" wystąpił z inicjatywą ufundowania międzynarodowej dorocznej nagrody literackiej przy Lidze Narodów. Na inicjatywę tę zareagowali różni wybitni pisarze europejscy i amerykańscy. Sto tysięcy franków szwajcarskich wydaje się im małą atrakcją, gdyż trudno jest znaleźć wspólne a nieogólnikowe warunki zdobycia tej nagrody. Dosyć sceptycznie potraktował ten projekt znany francuski poeta i akademik P. Valery. Nie przypuszcza on zresztą, by Liga Narodów zechciała wyasygnować 100 tysięcy franków na „sprawy duchowe". Budżet tej instytucji mocno okrojono. Ideologja wszystkich przytem narodowości uważa, iż „duch nie potrzebuje pieniędzy". Zastrzega się poeta francuski, że jest to zdanie jego osobiste i chętnie uchyli czoła, jeżeli inicjatywa ta spotka się z innem potraktowaniem przez Ligę Narodów.

Zachodzi pytanie, czy inicjatywa naszego Pen-Klubu nie była przewczesna?

. . . .

(A.) Willy Melchert, inżynier-niemiec, pracował, jako „spec" w porcie archangielskim. Wrócił teraz do ojczyzny i opowiada na łamach prasy berlińskiej wrażenia swoje z kilkoletniej kontraktowej służby u bolszewików. Ogół polski niewątpliwie zainteresuje krwawy epizod z pamiętników tego inżyniera. Dotyczy on śmierci biskupa ks. Konrada Ścieklińskiego, aresztowanego w Kijowie i skazanego na internowanie w obozie aresztanckim pod Archangielskiem. Jak pisze Melchert, bolszewicy wyznaczyli biskupowi katolickiemu przymusową pracę w obozie. Później miał on dozór nad przeładowywaniem drzewa na okręty holenderskie, angielskie, niemieckie. Ks. biskup znał dobrze języki cudzoziemskie, co ułatwiało mu kontakt z obsługą statków. Pracował tak lat kilka w znoju, brudzie, krzepiąc swoim słowem i przykładem wielu rosjan. Bolszewikom nie podobało się to. Biskup katolicki wywierał za duży wpływ na cały obóz. Szukano możności, by

LAUREAT NAGRODY PAŃSTWOWEJ



KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI, ZNAKOMITY POETA I DRAMATURG, AUTOR „JUDASZA", „KALIGULI", „NIESPODZIANKI", OTRZYMAŁ NAGRODĘ PAŃSTWOWĄ. PRZED KILKU TYGODNIAMI UKAZAŁ SIĘ ZBIÓR JEGO WIERSZY PT. „ZYGZAKI"

się go pozbyć, lecz więzień nie dawał żadnej okazji. Zachowywał się nadzwyczaj czujnie, poprawnie. Uważano go niemal za świętego.

Tego nie mogli mu darować archangielscy komisarze. Postanowiono go sprowokować. Komendant pewnego okrętu został podmówiony, by ukrył w nim księdza biskupa i wywiózł do Anglji. Komuniści oszukali i jego. Dali mu świadectwo wyjazdowe z portu. Biskup Ściekliński wszedł na statek w ostatniej niemal chwili przed wyjazdem. Sytuacja wydawała się tak jasna i ponętna. Któż nie chciałby się ratować z ciężkiej niewoli?

Bolszewicy błyskawicznie zatrzymali okręt u wyjścia z portu. Przeszukali statek, znaleźli biskupa, zabrali i wobec całego obozu odbyli nad nim bluźnierczy sąd.

Willy Melchert w pamiętniku swoim pisze, iż komisarz Bakłanow kazał zedrzeć z biskupa koszulę. Związano mu ręce. Bakłanow siekł nahajką biskupa po piersiach i plecach. Zionął przytem bluźnierstwami i szyderstwami.

— Gdzież jest twój katolicki Bóg! Pozwalam mu, niech cię ocali! Zaczął palić papierosa i wobec całego obozu powtarzał:

— Czemuż się twój Bóg nie spieszy? Gdy skończę palić, mam dla ciebie kulę...

Biskup stał milczący, pokrwawiony. Usta cicho szeptały słowa modlitwy. Willy Melchert opowiada, iż „był podobny do posągu, jasność dziwna, nieziemska promieniowała z jego postaci".

Komisarz bolszewicki Bakłanow wycelował lufę Nagana w usta księdza. Padł strzał, kładąc trupem biskupa.

Wstrząsająca to scena! Nie zagasły jeszcze pochodnie Nerona.

. . . .

(G.) Dyrektor Wacław Dresler, znany publicysta i literat czechosłowacki, wygłosił w Warszawie odczyt pt. „Wieś współczesna czeska". Odczyt wywołał duże zainteresowanie. Sala była wypełniona po brzegi. Wśród obecnych znajdowali się wybitni nasi działacze kulturalni i polityczni. Wieś czeska jest ośrodkiem bardzo ciekawych procesów społecznych i wzorem kształtowania się tej podstawowej warstwy w naród, świadomy swych zadań i celów. Dyr. Wacław Dresler podkreślał, iż siła wsi czeskiej leży w jej kulturze. Niema analfabetów. Każdy chłop posiada wykształcenie rolnicze. Gazeta dociera do każdej literalnie chałupy. Jest abonowana! Nakłady pism chłopskich sięgają zawrotnych cyfr. Dziennik „Venkow" posiada prenumeratorów stałych zgórą 225 tysięcy. Dziennik „Večer" liczy 250 tysięcy abonentów, płacących prenumeratę nieraz za rok zgóry. W Czechach niema obecnie chaty pokrytej słomą. Wieś w kasach oszczędnościowych własnych posiada 8 miljardów kor. czeskich.

Dobrobyt wsi czeskiej powinien znaleźć naśladownictwo w innych krajach słowiańskich. Jak wziąć się do tej pracy? Dyr. Wacław Dresler uważa, iż przez zastosowanie czeskich metod organizacji społecznej. Najpierw sprawy kultury i sprawności gospodarczej winny być podstawowo wszczepione w zespoły gminne. Polityka będzie koroną tej działalności. U nas, niestety, stało się naodwrót. Rozpolitykowano wieś, nim nauczono ją czytać.

. . . .

(B.) Porwanie syna K. Lindbergha wywołało sensację w prasie

całego świata. Jest to przecież rzecz niesłychana, by w cywilizowanym kraju policja nie mogła położyć kresu takiemu bezprawiu! Okazuje się jednak, że i u nas w Polsce ten sposób wymuszania pieniędzy już przedostał się do mętów społecznych. Kronika kryminalna wileńska zanotowała, iż były członek bandy Al. Capona z Chicago, p. Berel, krawiec, wysiedlony z Ameryki, zorganizował sobie towarzystwo pt. „Złoty sztandar". Pochwycili oni syna właściciela lombardu wileńskiego Lejbowicza, ukryli i zażądali 15 tysięcy złotych okupu. Nasza policja jednak nie dała się długo wodzić za nos opryszkom. Po dwóch dniach „Złoty sztandar" znalazł się prawie w komplecie pod kluczem, a Józio Lejbowicz u rodziców. Mogłaby policja amerykańska przyjechać na studja kryminalne do Wilna! A może tylko Berel krawiec okazał się kiepskim uczniem mistrza Al. Capona?

. . . .

(O.) W kronice wypadków zanotowano w tym tygodniu drobną, ale wymowną wiadomość: Z trzeciego piętra domu przy alei Jerozolimskiej w Warszawie wyskoczyła na bruk 80-cioletnia staruszka, ponosząc śmierć na miejscu.

Przyczyną samobójstwa był ciężki stan materjalny. Staruszka posiadała kamienicę przy tej samej pryncypalnej ulicy, w samem centrum miasta, zamieszkaną przez najzamożniejszą ludność. Ale lokatorzy zalegali z opłatą komornego, natomiast podatki, administracja domu i żołądek jej właścicielki nie chciały czekać. Doprowadzona do ostateczności — skończyła tragiczną śmiercią.

Taki jest dzisiaj los kamieniczników w najbogatszych dzielnicach stolicy. Cóż mówić o właścicielach nieruchomości na przedmieściach i bocznicach? Jeśli nie skaczą na bruk, to chyba dlatego, że tam bruków niema. No i przyzwyczaili się już, że od lat nikt im czynszu nie płaci — na zasadzie zresztą obowiązującej ustawy o ochronie lokatorów.

. . . .

(skrz.) Tragiczna historja znanego w Warszawie jubilera jest smętnym dokumentem krytycznego okresu. Posiadał magazyn w najlepszym punkcie stolicy, znany był z ruchliwości, z pomysłowej reklamy... I oto kryzys sprowadza go na fatalną pochyłość, dopuszcza się w stosunku do klientów takich nieprawidłowości, że muszą ingerować władze sądowe. Wydany zostaje wyrok aresztowania. Jubiler znika z domowych pieleszy. Podejrzewają go, że uciekł zagranicę. Po paru dniach agenci policji spotykają go na jednej z ulic śródmieścia: wytworny kupiec stał się bezdomnym włóczęgą. Wymizerowany, wychudzony, włosy zbielałe. Jakie męki musiał przechodzić ten nieszczęśliwiec, który niedawno jeszcze wyróżniał się wcale górnemi ambicjami, a był czas, kiedy bardzo gorliwie i bezinteresownie pracował na niwie społecznej...

Zaiste, nasze obecne życie obfituje w dramaty...

. . . .

(A.) Zamierzona reorganizacja ubezpieczeń społecznych polegać ma przedewszystkiem na zmniejszeniu świadczeń leczniczych. Dotychczas chory mógł otrzymywać opiekę lekarską, pomoc pieniężną i lekarstwa przez 39 tygodni; teraz wolno mu będzie chorować tylko 26 tygodni, a w wypadkach masowych zasłabnięć — 13. Zamiast 60% zarobku, zasiłek chorobowy wynosić będzie 50% płacy zasadniczej (bez dodatków); zasiłek położniczy będzie zmniejszony do połowy. Za porady lecznicze ma się płacić po 50 groszy, za lekarstwa — 10% ceny. Dotychczas jedne i drugie były bezpłatne. Wyłącza się od pomocy kasowej rodziców ubezpieczonego.

Wszystkie te redukcje, dotkliwe dla robotników, mniej obchodzą inteligencję pracującą: — i tak nie mogła korzystać z kas chorych, wymagających wielkiej straty czasu i dającej surogat lecznictwa, niezadawalający pracowników umysłowych.

Grozi im gorsze niebezpieczeństwo: połączenie ich zakładu ubezpieczeń z kasami chorych, więc nowe scentralizowanie, nowe wzmożenie biurokratyzmu, formalistyki, szykan, i — tak, jak w kasach chorych — zasilania własnemi składkami cudzych kont. Już się pogodziła inteligencja pracująca, że dużo płaci na kasy, a mało z nich korzysta. Teraz to samo stanie się z ubezpieczeniami na starość i na wypadek śmierci. Płacić się będzie co miesiąc kilkadziesiąt złotych, ale gdy przyjdzie otrzymać zasiłek czy rentę — „czekaj, babko, latka"...

◆◆

DELEGACJA PRZEMYSŁOWCÓW POLSKICH NA WYSTAWIE PRZEMYSŁU BRYTYJSKIEGO W LONDYNIE



PIERWSZY Z LEWEJ STRONY: P. SADOWSKI, RADCA HANDLOWY R. P. W LONDYNIE, P. WARTALSKI I P. INŻ. PŁUŻAŃSKI

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Wojska chińskie cofnęły się z pod Szanghaju na drugą linję oporu, położoną o 20 klm. w głąb kraju. Japończycy, wbrew przyjętym zobowiązaniom, nacierają w dalszym ciągu.

Japonja przyjęła propozycje Paul-Boncoura co do odbycia konferencji mocarstw w Szanghaju w sprawie zaprzestania działań wojennych, potwierdzenia deklaracji o wyrzeczeniu się zdobyczy terytorjalnych i zawieszenia broni, poczem wzmocniła natarcie na całym froncie świeżo sprowadzonemi siłami.

W Genewie otwarto nadzwyczajne zgromadzenie Ligi Narodów pod przewodnictwem Hymansa. Doszło do dramatycznej dyskusji, w której zarzucono przedstawicielowi Japonji wprowadzenie Zgromadzenia w błąd.

Zamierzony marsz na Helsingfors faszystów finlandzkich, zwanych „lapowcami", rozchwiał się. Bandy ich rozproszono, a przywódców aresztowano.

W Moskwie student Juda Sztern dokonał zamachu na radcę ambasady niemieckiej Twardowsky'ego, raniąc go parokrotnie.

Rząd wniósł do Sejmu projekt ustawy o pełnomocnictwach dla Prezydenta Rzplitej do wydawania dekretów w sprawach gospodarczych, finansowych, wymiaru sprawiedliwości (zawieszenie niezawisłości sędziowskiej), świadczeń społecznych, reorganizacji administracji i t. p.

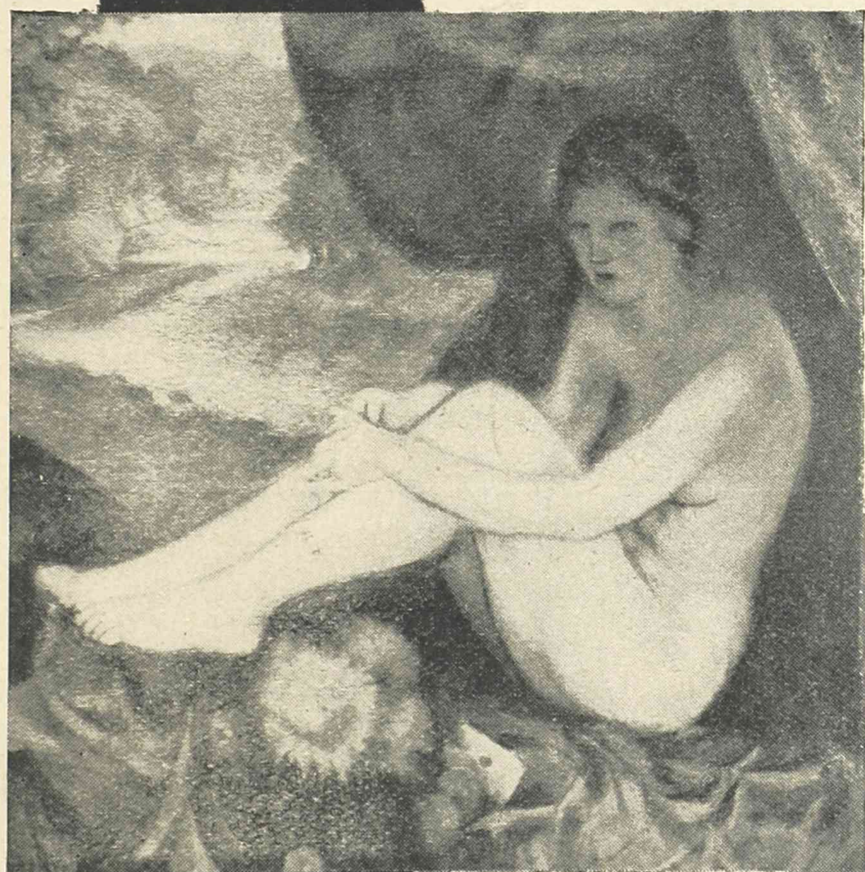
ZBIOROWA WYSTAWA OBRAZÓW ART. MAL. FRYDERYKA PAUTSCHA W TOW. ZACHĘTY W WARSZAWIE



„Autoportret"



„Chłop z kaczkami"

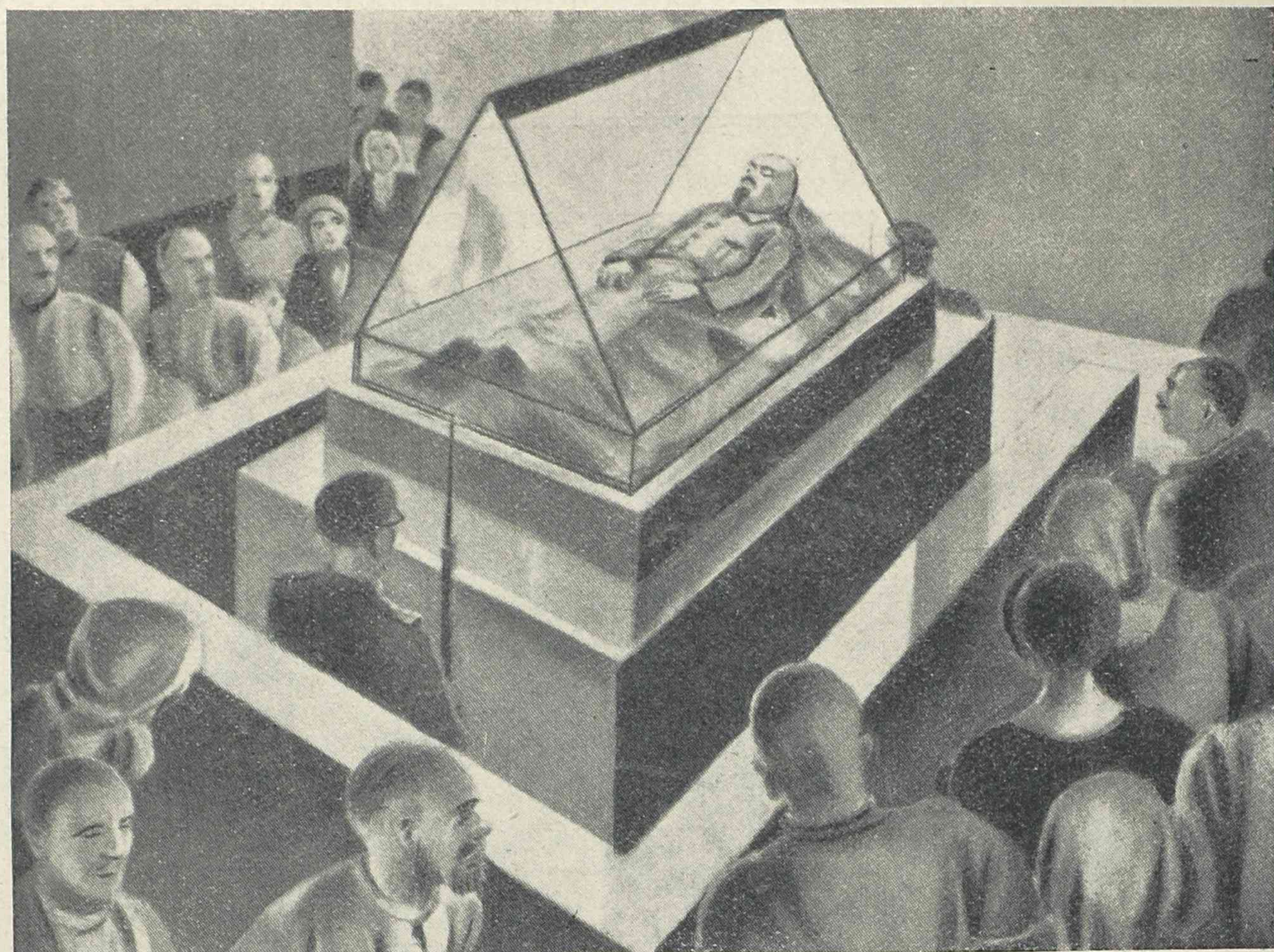


„Zuzanna"



„Pochód Słowian"

Fot. A. Janczewska



MAUZOLEUM LENINA W MOSKWIE

LISTY Z CZERWONEJ MOSKWY

KULT LENINA

Było to przy końcu lata 1918 r. Kręciłem się w sprawach służbowych na tak zw. czechosłowackim froncie, w rejonie Kazania. Pewnego razu wstąpiłem na odpoczynek do pierwszej lepszej włościańskiej chałupy.

W owych czasach nie było jeszcze w Rosji tak głodno, jak dziś. Wkrótce na stole ukazały się jajecznica, samowar, chleb i mleko. Wydobyłem z walizki tylko tylko napoczętą butelkę wódki — po kwadransie gawędziliśmy z gospodarzem chałupy, jak dwaj starzy przyjaciele.

Oglądam się i widzę na ścianie poniżej „ikon" portret ostatniej carowej Aleksandry, a obok w takiej samej pozłacanej ramie podobiznę... Lenina.

— Dlaczego, gospodarzu, umieściliście Lenina obok carowej? — pytam.

— A no, tak mu się teraz należy. Dawniej w tej ramie był car Mikołaj. Dziś, kiedy Lenin cara „sprzątnął", a sam usiadł na jego miejscu, to i wisieć powinien obok carowej.

Był to początek kultu Lenina w najszerszych masach ludności rosyjskiej.

Dziś niema w Rosji obywatela, któryby nie był obeznany z drobiazgowym życiorysem twórcy rosyjskiego bolszewizmu.

Od tego rozpoczyna się wogóle nauczanie sowieckich dzieci. W starszych klasach „siemiletki" (szkoła średnia) biografję jego „kują" ze wszystkiemi szczegółami. 14-toletni chłopak nietylko wie, kiedy Lenin urodził się, w którym roku wstąpił do szkoły, w którym został po raz pierwszy aresztowany i t. d., lecz wyrecytuje na pamięć urywki z najważniejszych jego przemówień programowych.

Tego jednak mało. Chodzi nietylko o zapoznanie dzieci z życiorysem Lenina, lecz i o wpojenie w nich uczucia najwyższego, powiedziałbym, religijnego kultu dla tego człowieka.

Podczas strasznego głodu w 1922 r. w jednym z przytułków dla sierot kierowniczka wynalazła taki sposób wychowawczy:

— Głodne jesteście? Wiem o tem. Ale nie jestem w stanie wam ulżyć. Zresztą, wiecie co, pomódlmy się. Może Pan Bóg da nam chleba.

I oto rozpoczyna się wspólna głośna modlitwa.

— Chleba naszego daj nam! — woła najgłośniej kierowniczka. Po kilku minutach oświadcza:

— Nie, Pan Bóg jest albo bezsilny, albo niemiłosierny, nie chce dać nam chleba. Wiecie co? Poprośmy o chleb Lenina!

Dzieci stają przed wiszącym na ścianie wielkim portretem Lenina i zaczynają wołać:

— Daj nam chleba! Daj nam chleba!

I staje się cud! Otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi służący z całym koszem apetycznie wyglądających bochenków, które kierowniczka rozdaje swoim pupilom.

Dzieci są zamałe, ażeby domyśleć się ohydnej inscenizacji. Ale w główkach i uczuciach ich Lenin zajmuje miejsce obok Boga.

A nawet, może, wyżej.

⁂

Władza bolszewicka egzystuje już od 14-tu lat. Młodsze pokolenie obecnej ludności rosyjskiej, to zn. ludzie liczący do 30-tu lat, wyrosło pod czarem imienia Lenina. W oczach tej części ludności Lenin jest nadczłowiekiem, jakimś tytanem.

Z biegiem czasu, a raczej pod wpływem umiejętnie prowadzonej akcji wychowawczej, młodzież sowiecka przestaje znać prawdę historyczną o przebiegu rosyjskiej rewolucji. Większość młodzieży jest przekonana, że carat został obalony przez Lenina. Dalej, Lenin odebrał „pomieszczykom" grunta, a kapitalistom i kupcom pieniądze. Wprawdzie dziś proletarjat rosyjski ani z tych gruntów, ani z tych pieniędzy nic nie ma, jednak, tego kolosalnego dzieła dokonał Lenin. On przewrócił do góry nogami prastare formy politycznego i ekonomiczne ustroju Rosji i stworzył nową Rosję. Tego wszystkiego dokazał on, Lenin, dziś już nawpół mistyczny człowiek o kałmyckiej twarzy i małych świdrujących oczach, którego portrety rozrzucane są po całej Rosji w ilości znacznie większej, niż niegdyś portrety carów rosyjskich.

Niema instytucji, niema witryny sklepowej, niema prywatnego mieszkania członka partji komunistycznej, gdzie nie byłoby fotografji, portretu, a czasem i popiersia Lenina.

Tak lubiane przez lud rosyjski „ikony" zostały zastąpione portretami Lenina. W wielu mieszkaniach urządzono „leninskije ugołki" — wedle prawosławnego zwyczaju czczenia świętych pańskich.

Nic, więc, dziwnego, że przed czterema laty w zapadłym zakątku dawnej gubernji Wołogodzkiej miałem z pewnym starym chłopem taką rozmowę:

— Powiedz ty mi, żyje Lenin, czy nie żyje? — pyta chłop.

— Oczywiście, że nie żyje. Przecie w Moskwie w mauzoleum leży jego ciało. Każdy może je oglądnąć!

— Właśnie! Właśnie! Opowiadali nam ci, co oglądali. Mówią, że nie jest on martwy, tylko śpi. A jeszcze mówią u nas, że on nie człowiek, a czort. Że on naumyślnie niby umarł. W dzień leży w szklanej trumnie, a w nocy wstaje i rządzi Rosją!

Powiedzenie starego chłopa przytoczyłem dosłownie. Bóg czy szatan? W umysłach miljonowej masy włościaństwa rosyjskiego, szczególniej starszego pokolenia, Lenin, w każdym razie, zwykłym śmiertelnikiem nie był.

⁂

Codziennie przed wieczorem na „Krasnoj płoszczadi", w pobliżu mauzoleum Lenina, zbiera się tłum. Ustawia się w długi ogonek.

Olbrzymi ponury gmach na tle prastarych murów Kremla. Jakieś dziwne, tajemnicze światło ukrytych lamp przy wejściu do mauzoleum. Ogonek posuwa się, jak wąż, wchłaniany przez czarne sklepienie. Już o sto kroków od wejścia rozmowy prowadzone są szeptem.

— Oj, boję się! Czy aby potem nie będzie źle? Nieruchomy, powiadasz, leży? A, jeżeli się poruszy? Umrę ze strachu. To znaczy, był on święty, jeżeli do tej pory ciało pozostało.

Parę stopni. Jakby wykute z bronzu figury żołnierzy, pełniących wartę honorową. Stoją nieruchomi. Zdaje się, nawet nie mrugają. Bardzo wielu ze zwiedzających mauzoleum myśli, że to są kukły, a nie żywi ludzie.

Efekt nadzwyczajny.

W trumnie... Ale to nie jest trumna. To płytki, czworokątny grób w bryle marmuru. Pod grubem czyściusieńkiem szkłem, w ciemnym marynarkowym garniturze leży Lenin. Żółta twarz. A na policzkach coś w rodzaju rumieńców.

Zatrzymywać się, przyglądać się — niewolno. Przecież możnaby było dostrzec w tej twarzy coś strasznego, coś, o czem nie zapomni się przez całe życie: — walkę śmierci i rozkładu ze sztuką.

Wychodzą nawet bez szeptów.

Tak przesuwają się setki, czasem tysiące ludzi dziennie. Powracają do domów i opowiadają o tem, co widzieli. Do najdalszych zakątków Rosji dociera legenda o człowieku, który zwyciężył prawo natury.

Tak za pomocą szerzenia kultu jednostki działa się na ciemne masy dla utrwalenia regime'u, zaprowadzonego przez Lenina.

Old Friend

Moskwa.

ZE ŚWIATA

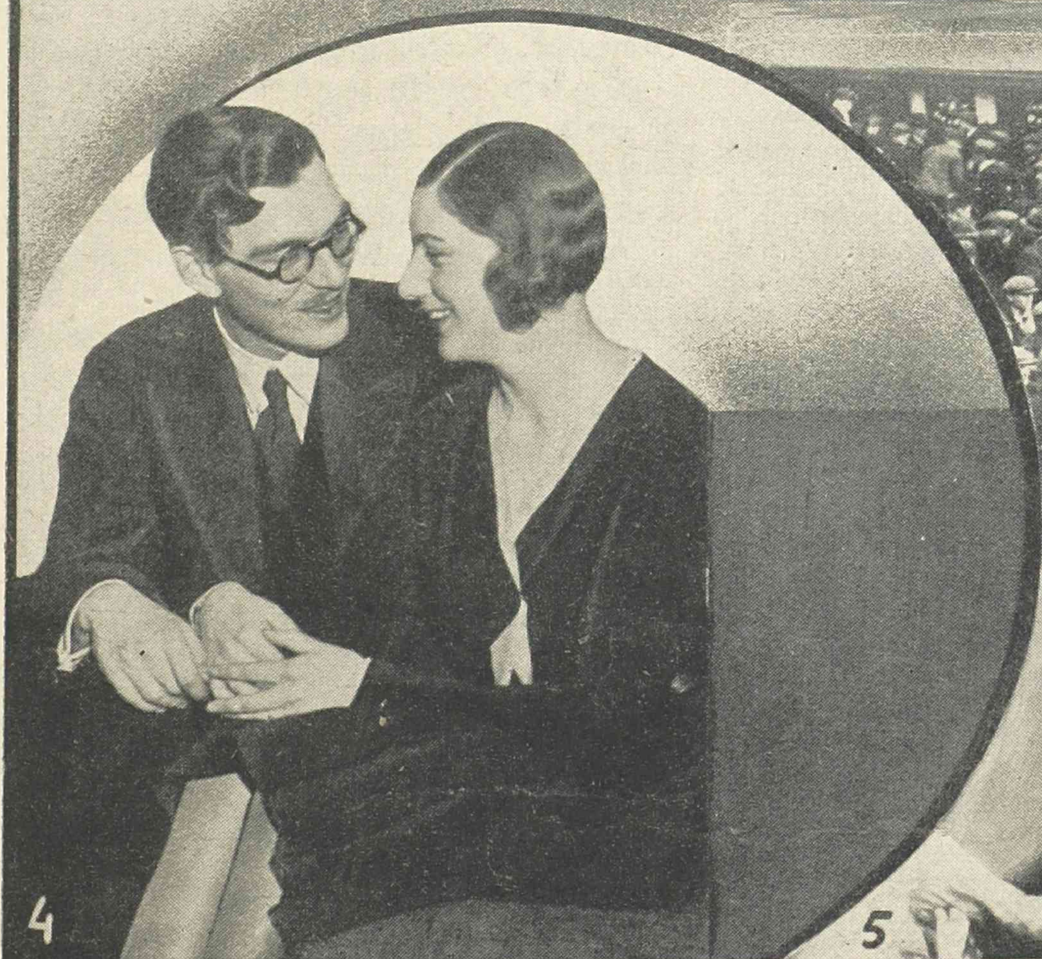




1) Syn znakomitego lotnika, zwycięzcy Atlantyku, pułk. K. Lindbergha, został porwany przez złoczyńców amerykańskich w celu zdobycia haraczu. Na fotografji pani Lindbergh z synem

2) Wódz irlandzki de Valera przemawia na wiecu przedwyborczym w Dublinie







3) Amerykańska demonstracja za skreśleniem długów wojennych w New-Yorku. 4) Książę szwedzki Lennart zaręczył się z panną Karin Nissvandt. „Mezaljans" ten wywołał komentarze w prasie europejskiej. 5) Rozruchy uliczne w Brystolu (Anglja). Atak bezrobotnych na policję. Zostało zabitych 30 osób.

Fot. New-York Times

„WSPOMNIENIA BERLIŃSKIE"

W najbliższych dniach ukażą się na półkach księgarskich „Wspomnienia Berlińskie" p. Karola Rosego, b. konsula generalnego Rzeczypospolitej w Berlinie.

P. K. Rose zamieszkiwał w stolicy Niemiec od 1902 roku, biorąc wybitny udział w życiu kolonji polskiej. Przez dłuższy czas był nawet wydawcą „Dziennika Berlińskiego". Miał też sposobność poznać obyczaje i psychikę niemiecką, jak niewielu z Polaków. Zwłaszcza, że stroniąc od polityki, p. Rose przed wojną, a szczególnie podczas wojny opiekował się emigrantami polskimi w Niemczech, zakładał w tym celu specjalne instytucje i niemi kierował. Z tego powodu miał nieustanny kontakt z władzami niemieckiemi. Jeszcze dawniej, w czasach przedwojennych, gdy wyższe zakłady naukowe Berlina ściągały setki studentów — Polaków, p. Rose starał się oddziaływać na nich w kierunku łagodzenia tarć wewnętrznych, właściwych każdej emigracji, oraz usuwać szkodliwe skutki pobytu na obczyźnie. Najszerszą jednak akcję rozwinął p. Rose już jako konsul generalny Rzeczypospolitej, największe też miał wówczas pole obserwacji.

Stosownie do trzech okresów jego pobytu w Berlinie, książka dzieli się też na trzy części: 1) Czasy przedwojnene, 2) Czasy wojenne, 3) Czasy powojenne.

„Wspomnienia berlińskie", pisane z wielkim objektywizmem, staną się poważnym dokumentem historycznym nietylko dla poznania niemiecko-polskich stosunków w przełomowej epoce, która nam zwróciła niepodległość, lecz i dla charakterystyki ogólnej Niemców w pierwszem ćwierćwieczu XX stulecia.

Za łaskawą zgodą autora przytaczamy wstęp, opisujący zachowanie się Niemców na początku wojny i rzucający jaskrawe światło na ich moralność.

Cechowało naród niemiecki wówczas jeszcze zupełne zdziczenie pod względem uważania rabunków za rzecz legalną. W wielkich magazynach berlińskich sprzedawano towary, zabrane z Belgji i z Francji — np. dywany z Verviers, otwarcie, jako t. zw. Kriegsbeute, zupełnie bez ukrywania pochodzenia i sposobu zabrania tych towarów. Gorzej jeszcze, żony oficerów, będących na froncie, pokazywały nieraz często i chętnie gościom swoim przedmioty sztuki, biżuterje lub kosztowne artykuły dla codziennego użytku, przysłane im przez mężów; niejedna z tych pań wprost chwaliła się tem, że „jej poczciwy Otto lub Fryc tak o niej pamięta"; poprostu nikt się nie chciał nad tem zastanowić, że wszystkie te towary, należące do osób prywatnych, były przeważnie nie kupowane, lecz z pominięciem konwencji genewskiej poprostu zabierane. Psychologicznie jest to zjawisko wprost trudne do pojęcia. Wszak jeszcze w pierwszej połowie r. 1914 korpus oficerski w Niemczech składał się bez wyjątku z ludzi hołdujących nietylko dyscyplinie wojskowej, ale i moralnej, i to w najwyższym stopniu i mógł służyć poprostu za wzór pod względem panowania nad sobą. Jednostki uchybiające tym zasadom i temu kodeksowi były bez pardonu z korpusu oficerskiego eliminowane. Tak więc jeden kwartał wojenny wystarczył, aby oficerów niemieckich poważnie zdemoralizować, w miarę zaś masowego umierania oficerów zawodowych, zastępywanych potem wciąż crescendo oficerami rezerwy, działo się pod tym względem coraz gorzej, o czem i Królestwo zresztą miało sposobność się przekonać.

W związku z tem przypominam sobie publiczne zebranie nauczycielek w Berlinie w Lehrervereinshaus w r. 1916, na którem był zapowiedziany Stresemann, jako główny



KOROL ROSE

referent. Ponieważ uchodził, i to słusznie, za świetnego mówcę, przeto udałem się i ja na ten wiec, aby go usłyszeć po raz pierwszy, a nadto poznać przy tej sposobności i psyche wojenną kobiet niemieckich. Stresemann w r. 1916 nie był zgoła jeszcze tym człowiekiem, którym się okazał w 1923, gdy — zadając kłam całej swojej przeszłości, a pragnąc uratować Niemcy od zguby — zatrąbił nagle na odwrót i wystąpił z programem porozumienia się z Francją. Przeciwnie — w pierwszej połowie wojny należał do obozu fanatycznych aneksjonistów, w tym też duchu przemówił na owym wiecu. Zainteresował mnie specjalnie ustęp jego mowy, dotyczący Królestwa. Stresemann—mówiąc o pierwszem wejściu Niemców do Łodzi — z widocznym żalem wspomniał o tem, że Niemcy musieli Łódź opuścić, nic nie zabrawszy. „Ale, pocieszcie się, moje panie, — dodał mówca, gdyśmy weszli do Łodzi poraz drugi, już się to nie powtórzyło. Zabraliśmy z Łodzi, co tylko było można. Wełnę, bawełnę, wszelkie surowce i gotowe tkaniny, nawet części miedziane z maszyn".

A jak na to zareagowała sala? Zatrzęsła się od oklasków; wszystkie te kobiety — nauczycielki, powołane do zaszczepiania dzieciom zasad moralności, wpadły w radosny szał i miałem wrażenie, że radość tę wyrażały bodaj czy nie hałaśliwiej, aniżeli obecni mężczyźni.

W książce p. K. Rosego znajdujemy też cenne informacje, dotyczące polskiej akcji zagranicą czasu wojny. Cytujemy wspomnienia jego o Komitecie Sienkiewiczowskim w Vevey.

W październiku 1914 r. pojechałem na skutek wiadomości, otrzymanych od ś. p. Erazma Piltza, do Vevey, gdzie była siedziba Komitetu Sienkiewiczowskiego, w stosunku do którego byłem stałym informatorem o nastrojach w Niemczech aż do jesieni 1915, gdy zostałem zatrzymany na stacji granicznej Immendingen... Odbyłem w owym okresie ogółem 4 podróże do Vevey. Czasami, ale nie za każdym razem, przewoziłem przytem w obu kierunkach listy i materjały informacyjne, ale niekoniecznie bardzo niebezpieczne. Pod tym względem ś. p. Zofja Sokolnicka, późniejsza posłanka poznańska do Sejmu, narażała się np. na daleko większe ryzyka i dochodziła czasem wprost do heroizmu. Gdy zostałem zatrzymany na owej stacji, wiozłem ze sobą listy arcybiskupa Dalbora do Sienkiewicza. Za każdym przyjazdem do Vevey miałem nanowo wrażenie, że powaga Komitetu dzięki autorytetowi Sienkiewicza wciąż wzrastała. Zwłaszcza Anglicy i Amerykanie wprost dobijali się o możność rozmawiania z naszym Mistrzem. Dla portjera hotelu było to nawet źródłem zarobku, bo niezliczone Amerykanki i Angielki opłacały go suto, choćby tylko za pokazanie im Sienkiewicza, zasiadającego na werandzie przy piciu herbaty.

Stosunki wewnątrz Komitetu od początku nie były bardzo harmonijne, co było w związku z t. zw. orjentacją poszczególnych jego członków, ale i pozatem nie brak tam było przykrych rozdźwięków i

intryg na tle osobistych uraz i niechęci. Pod tym względem Komitet w Vevey, jakkolwiek złożony z tylu wybitnych ludzi, wykazywał jakoś — nie zawsze, ale często — owe rysy, cechujące niestety naturę polską, zwłaszcza na obczyźnie. Górował atoli w tej atmosferze bezapelacyjnie i trzymał się coraz bardziej na uboczu od wszelkich intryg i konfliktów prawdziwie olimpijski — Henryk Sienkiewicz. Jak już wyżej zaznaczyłem, moje wyjazdy do Vevey nie były liczne i ustały wogóle od jesieni 1915 r. To też dokładne informacje mam tylko co do 2 incydentów, dotyczących spraw Komitetu w owym krótkim czasie.

Pierwszy z nich był w związku z krokami, poczynionemi pod koniec 1914 r. przez Paderewskiego u Prezydenta Poincaré w tym celu, aby rząd francuski nakazał t. zw. „Journée polonaise", taksamo, jak już był urządził przedtem „journée serbe", obchodzoną we wszystkich szkołach francuskich bardzo uroczyście i połączoną ze składkami na rzecz spustoszonej Serbji. Poincaré, przewidując drażliwość rządu rosyjskiego w sprawach polskich, a pokładając, jak cały naród francuski, zresztą wielkie nadzieje w ofenzywie wojsk rosyjskich, dał naszemu wielkiemu artyście odpowiedź naogół życzliwą, ale połączoną z zastrzeżeniem, że byłaby tu konieczną i zgoda ambasadora rosyjskiego, do którego Paderewski powinien się udać. Ten udał się zatem do Izwolskiego i doznał tam tak gorącego przyjęcia, że aż był zakłopotany. Mianowicie ambasador, zaledwie wysłuchawszy, o co się rozchodzi, nietylko zaraz przyklasnął projektowi, ale zaprosił do salonu swoją małżonkę, oświadczając jej z miejsca, że nie tylko aprobuje projekt, lecz aby jeszcze wyraźniej zaznaczyć swoje sympatje dla projektu i dla inicjatora — proponuje i pragnie, aby cała uroczystość odbywała się pod patronatem ambasadorowej. Ta impulsywna samowola Izwolskiego postawiła naturalnie naszego wielkiego artystę w arcytrudnem położeniu, które stało się jeszcze trudniejsze, gdy niewiadomo jaką drogą przedostała się do Kolonji Polskiej w Paryżu zupełnie nieprawdziwa wiadomość, jakoby Paderewski odrazu przybył z zamiarem zaproponowania pani Izwolskiej takiego patronatu. Na tem tle doszło podobno do przykrych demonstracji w łonie Kolonji Polskiej w Paryżu. Odłam Kolonji pod wpływem dr. Motza i — jak mi mówiono — również i p. Curie-Skłodowskiej — miał podobno wysłać do Sienkiewicza w Vevey formalną skargę na Paderewskiego, zarzucając mu ni mniej ni więcej tylko uchybienie godności Narodu Polskiego.

Tego rodzaju sprawa musiała, oczywiście, być Sienkiewiczowi, jako Prezesowi Komitetu, w najwyższym stopniu niemiłą i dlatego uprosił Erazma Piltza, aby pojechał do Paryża i z cechującem go wyrobieniem politycznem w tego rodzaju sprawach załagodził konflikt.

MAURICE RAVEL W WARSZAWIE

Warszawa gości po raz pierwszy jednego z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów francuskich. Oklaskiwać go będzie na piątkowym koncercie symfonicznym, poświęconym dziełom znakomitego mistrza.

Maurice Ravel urodził się w r. 1875



MAURICE RAVEL

w Cibour, uroczym zakątku Pireneji nad zatoką Biskajską. Ukończył konserwatorjum paryskie, jako uczeń Gabriela Fauré w 1889 r. Paryż muzyczny zdobył wstępnym bojem w r. 1896 swoją „Szeherezadą". W 1901 r. uzyskał drugie Prix de Rome, laur, po który sięgają wszyscy młodzi francuscy muzycy.

Z dzieł jego orkiestrowych największą popularnością cieszą się: „Rapsodie Espagnole", balet „Daphnis et Chloë", jednoaktówka sceniczna „L'heure espagnole", „Le Tombeau de Couperin", „Valse", „Boléro", opera „L'enfant et les Sortilèges"; z fortepjanowych: — cykl „Le Gaspard de la Nuit", „Valses nobles et sentimentales"; z kameralnych — znane Trio.

Nie lubię wyrazu „modernizm" i staram się go unikać, gdyż niewiele mówi, a wiele zaciemnia. Jednak z nazwiskiem Ravela związało się to słowo w literaturze muzycznej tak ściśle, że trudno jest je od niego oderwać. I choć po Ravelu przyszły inne pokolenia muzyków... i przeszły, pozostał on w opinji, obok Debussy'ego, jednym z najbardziej czołowych przedstawicieli „młodej" francuskiej szkoły.

Łączy on w sobie w wybitnym stopniu wszystkie cechy francuskiej muzyki ostatniego półwiecza. Impresja, kolor, mocne domieszki intelektualizmu, a przytem faktura kryształowo czysta, logiczna, jasna — jak wszystko co francuskie — zadziwiająco, wirtuozowsko „techniczna". Impeccable!

Można tę muzykę lubić lub jej nie lubić, można czuć lub nie, ale to pewna, że jest żywą, szczerą, odruchową, nawskroś uczciwą.

Przyjęcie, jakie mistrzowi zgotowała Warszawa, potwierdza raz jeszcze tę starą prawdę: prawdziwa sztuka — wbrew teorjom, zasadom i megafonom reklamowym — zawsze trafia do serca „najszerszej" nawet publiczności.

M. K.

MIĘDZYNARODOWY KONKURS SZOPENA

Zainaugurowany pięć lat temu przez Wyższą Szkołę Im. Chopin'a międzynarodowy konkurs szopenowski w Warszawie stał się tego roku nietylko wielką sensacją Polski, lecz sensacją całego pianistycznego świata.

Wszystkie europejskie renomowane muzyczne szkoły pracowały od kilku miesięcy nad przygotowaniem najlepiej uzdolnionych artystów, by przysłać ich do Warszawy na wielkie rozgrywki szopenowskie.

Zjazd zgłaszających się pianistów pod względem ilościowym przekroczył czterokrotnie liczbę uczestników pierwszego konkursu. Pięć lat temu walczyło o palmę pierwszeństwa dwudziestu kilku pianistów, dziś prawie setka.

Jakość też o wiele wyższa od poprzedniej. Mamy do czynienia, sądząc już nawet z pierwszych kilku dni — z wyborem najlepszych sił artystycznych młodego pokolenia pianistycznego Europy.

Znaczenie tego konkursu przekracza pierwotne ramy: staje się on nietylko rodzajem eliminacji dla młodych wirtuozów, lecz jakby doświadczalną pracą nad ustanowieniem najwłaściwszej, najbardziej stylowej metody odtwarzania naszego Mistrza.

Nareszcie więc Chopin, kultywowany dotąd wyłącznie przez naszych pianistów, staje się przedmiotem wielkiej pianistycz-

nej międzynarodowej dyskusji, prowadzonej autorytatywnie w Warszawie.

Jest to fakt dla naszego życia muzycznego wielkiej doniosłości. Dotąd szereg odtwórców obcych ustanawiał takie tradycje w zakresie swych mistrzów narodowych. Zwłaszcza Niemcy utwierdziły w przekonaniu muzycznego świata tradycje dla Beethovena, dla Mozarta, dla Bacha. Tradycje te wywołały reakcję ze strony innych szkół odtwórczych, choćby naprz. szkoły francuskiej, któar ustaliła swój własny pogląd na wykonanie tych samych mistrzów niemieckich. Dochodziło do tego, że na najuroczystszych festiwalach beethovenowskich zespoły francuskie odnosiły zwycięstwo (kwartet Capeta) nad zespołami niemieckiemi, mimo, że turnieje odbywały się w Niemczech.

Dzięki wielkiemu napływowi wirtuozów-cudzoziemców na obecny konkurs szopenowski, zarysowuje się już i w Warszawie to właśnie poważne oblicze całej sprawy: Nie chodzi już o taką czy inną miarę doskonałości wirtuozowskiej, lecz o najwłaściwszy styl.

Artyści obcy, ubiegający się o nagrodę, oraz obcy mistrze, biorący udział w składzie sędziów konkursowych, będą się mogli przekonać, jak propagują Szopena w oderwaniu od tradycji, związanej z jego Ojczyzną, i jak tegoż Szopena grają w kraju, z którego Mistrz ten wyszedł w świat. Obecne rozgrywki są więc pierwszą próbą wprowadzenia wielkiej jednolitej tradycji w sztukę wykonywania dzieł Szopena.

Publiczność warszawska doskonale zrozumiała znaczenie konkursu. Otoczyła go swą pieczą i wielce życzliwem zainteresowaniem. Gdy warszawiacy dowiedzieli się, że dla zjeżdżających do stolicy artystów trzeba będzie deklarować godziny wolne dla ćwiczeń po prywatnych mieszkaniach (fortepiany bowiem instytucyj muzycznych szkolnych nie nastarczyłyby w danym razie), zasypali Szkołę Muzyczną Im. Szopena najżyczliwszemi ofertami z deklaracjami fortepianów i wolnych do ćwiczenia godzin.

Gdy tylko otwarto abonament, publiczność warszawska pośpieszyła tłumnie, by sobie zapewnić stałe miejsca podczas całego przebiegu audycyj.

Zachowanie się publiczności na koncertach wzbudza istotny szacunek. Mówią o tem z najmilszem uznaniem młodzi artyści cudzoziemscy, nie ukrywając, iż nie spodziewali się spotkać w Warszawie tak wyrobionego i surowego audytorium.

Nic nie ujdzie uwagi tej publiczności, jeżeli chodzi o Chopin'a. Mazurek, zagrany obojętnie, czy sztucznie, czy też pozbawiony humoru, lub liryzmu właściwego mazurkom, przechodzi bez wrażenia, bez oklasków. Rzecz wykonana trafnie wywołuje natychmiastową radosną reakcję publiczności. Widać, że słuchacze znają każdą nutę odtwarzanych dzieł i w wykonaniu każdego szczegółu biorą żywy udział.

Już dziś można powiedzieć, że walka o pierwszeństwo będzie zażarta. Najsilniej, pod względem stylu, przedstawia się szkoła pianistyczna polska i sowiecka.

Polacy przynoszą, — jeśli można się tak wyrazić, — wrodzoną umiejętność szopenowską. Już pierwszy występ jednego z polskich kandydatów, p. Ryszarda Wernera, wysunął się pod względem stylowego wykonania o wiele naprzód przed wykonaniem pianistów zagranicznych.

Szkoła włoska, o ile sądzić z dotychczasowej produkcji, przynosi olbrzymi temperament, wspaniałe „brio", niepoparte jednak dostatecznie ani technicznem studjum, ani zrozumieniem stylu.

Groźnie natomiast w dotychczasowej konkurencji zaznaczyli się Niemcy. Kandydat niemiecki Józef Wagner (uczeń doskonałego pianisty Poźniaka z Wrocławia) zachwycił publiczność pięknem wykonaniem sonat, nokturnów i etiud.

Bardzo trudna walka będzie z przedstawicielami szkoły belgijskiej. Nie idą oni może tak daleko wgłąb marzenia szopenowskiego, jak Polacy, kto wie jednak, czy nie będą lepsi pod względem formalnego wykonania. Wspaniałe poczucie rytmu, wyborna technika, ton nader giętki, pełny, ogromna pewność w wykonaniu czyni z reprezentacji belgijskiej konkurentów bardzo poważnych.

Świetnie obesłane zostały drużyny węgierska i czechosłowacka. Wiadomo też, że doskonale przygotowani są Rosjanie.

Po stronie polskiej publiczność upatrzyła już sobie faworytów. Należą do nich: Sulikowski, Kon, Kalecki, Boruński, Kagan, Iliwicka. Nie wymieniamy wszystkich. Każdy z kandydatów ma swoich stronników, którzy z najwyższem napięciem śledzą przebieg rozgrywek.

Urządzenie konkursu pod względem organizacyjnym stoi na wyżynie europejskiej. Dyrektor A. Wieniawski pracuje już nieprzerwanie od miesięcy, zapewniając stronie muzycznej i organizacyjnej przebieg wzorowy.

Warto zwrócić uwagę na pracę sądu konkursowego. Panowie sędziowie wysłuchują po dwie audycje dziennie. Ponieważ obowiązani są przy ostatecznym obrachunku zdać sprawę z gry każdego kandydata, muszą więc każdego słuchać z jaknajwiększą uwagą. Jest to praca niezmiernie wyczerpująca, dobrze się też stało, iż na wszelki wypadek pomyślano zawczasu o zastępcach.

Jak wiadomo, ufundowano na tym konkursie (łącznie z nagrodą za najlepsze wykonanie mazurków) osiem nagród. Ponieważ jednak poziom wykonawców okazał się bardzo wysoki, sąd konkursowy zamierza, prócz nagród, ustanowić jeszcze kilka dyplomów dla najlepszych wykonawców, którzy nie dojdą do rozgrywek o nagrody.

jkb.

CO CZYTAĆ?

BELETRYSTYKA TŁOMACZONA

Czytelnik polski nie może się skarżyć na brak wyboru w beletrystyce cudzoziemskiej, obficie dostarczanej na rynek księgarski. W masie tych książek znajdzie się i utwór godniejszy uwagi. Wydano obecnie słynną powieść Claud Anet'a p. t. „Mayerling". Tragedja arcyksięcia Rudolfa Habsburga, jedynego syna Franciszka Józefa, w powieści tej pokazana jest według źródeł austrjackich, dopiero teraz dostępnych dla badaczy. Claud Anet życie dworskie w starym cesarskim Wiedniu opisuje z dużą plastyką. Romans Marji Vetsera utrzymany jest w tonacjach życzliwych. Czemu skończyła się ta łabędzia pieśń tak ponuro? Franciszek Józef nie był sam bez grzechu! Jego pycha habsburska potrafiła zatruć życie nawet rodzonemu synowi. Arcyksiążę Rudolf zastrzelił swoją ukochaną i siebie pozbawił egzystencji tylko przez nieznośny opór egoistycznego dynasty.

Powieść Claud Anet'a w francuskiem wydaniu osiągnęła rekord powodzenia. W polskim przekładzie p. H. J. napewno spotka się również z dużem zainteresowaniem. Sensację wzbudziła w niemieckim i rosyjskim przekładzie żargonowa trylogja słynnego żydowskiego pisarza Szaloma Asza p. t. „Potop". Zawiera ona trzy powieści: Petersburg, Warszawę i Moskwę. Trylogję tę mamy do dyspozycji w przekładzie dr. Marcelego Tarnowskiego i Wacława Rogowicza. Przesuwa się przed nami korowód typów żydowskich, niekiedy tragicznych, niekiedy śmiesznych, a zawsze o żywym rysunku i plastyce. Trylogja ta nie jest jednak utworem o jakichś głębszych walorach artystycznych lub o większej wnikliwości socjologicznej. Czyta się zajmująco; jeżeli chodzi o Warszawę, to sprawia nawet pewien zawód. W powieści tej niema właściwie naszej stolicy. Parę nazw ulic, czyż to stanowi o charakterystyce lub życiu Warszawy? Dobrze jednak, że dano nam tę trylogję Szaloma Asza w polskim przekładzie. Koło twórczości tego pisarza część prasy urządza ekstatyczny taniec. Reklamuje go jednako New-York, jak i Berlin. A rezultat tego rozgłosu jest dosyć zagadkowy. Nie jest to twórczość, którąby mogła się mierzyć z Galsworthym, Dreiserem czy Kellermanem.

Dzięki zabiegliwości p. Stanisława Łukasika mamy możność zapoznać się z arcydziełem beletrystyki rumuńskiej, dwutomową powieścią Liviu Rebreanu p. t. „Ion". Jest to epopeja chłopska. Tom pierwszy ma tytuł „Głos ziemi", tom drugi — „Głos Miłości". Jeżeli się zważy, że twórczość beletrystyczno-rumuńska rozpoczęła się od 1850 roku, trzeba podziwiać szybkie tempo jej rozwoju. Czytelnicy „Świata" zapoznali się z nowelistyką rumuńską. Drukowaliśmy na łamach naszego pisma kilka utworów wybitniejszych pisarzy. P. Stanisław Łukasik we wstępie do swego tłomaczenia „Iona" dał wyczerpujący obraz twórczości beletrystycznej rumuńskiej. Pisze on:

„Powieść rumuńska z punktu widzenia historyczno-literackiego uderza bogactwem motywów i świeżym połyskiem barw. Na jej oryginalność złożyły się nietylko temperamenty twórców i odmienne horyzonty życia, ale także pewne tendencje artystyczne, dążące świadomie do utrzymania sztuki rumuńskiej w swoistym tonie".

Warto jest przeczytać „Iona" Liviu Rebreanu i porównać go do „Chłopów" Wł. St. Reymonta. Powieść ta dostarczy wielu płodnych refleksji.

Młodzież znajduje atrakcyjną lekturę w dwóch świeżo wydanych utworach Zane Greya p. t. „Karawany walczące" i „Człowiek lasu". Powieści te zawierają ciekawe egzotyczne tło i wydarzenia fascynujące, barwne.

E. C.

ZATARG JAPOŃSKO-CHIŃSKI



DEMONSTRACJE CHIŃCZYKÓW W SZANGHAJU ZA BOJKOTEM TOWARÓW JAPOŃSKICH. STAŁY SIĘ ONE POWODEM ZBROJNEJ I KRWAWEJ INTERWENCJI JAPONJI

ZDEMOLOWANA BOMBAMI LOTNICZEMI DZIELNICA W SZANGHAJU





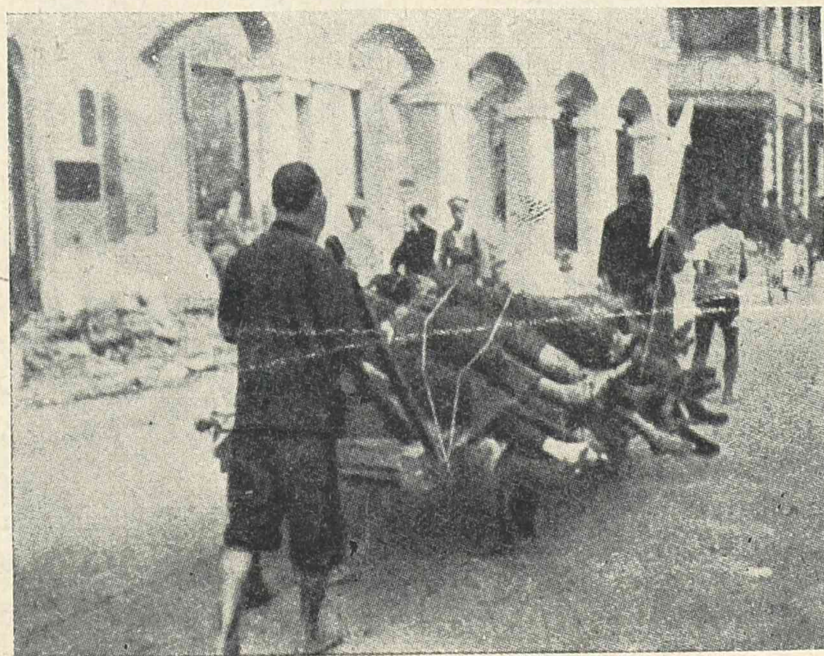
WALKA JAPOŃSKICH WOJSK REGULARNYCH Z LUDNOŚCIĄ CHIŃSKĄ, BRONIĄCĄ SWOICH DOMOSTW



JAPOŃSKIE WOJSKA NA PRZEDMIEŚCIACH SZANGHAJU



PO ZBROJNEM STARCIU W DZIELNICY CHIŃSKIEJ SZANGHAJU



ZBIERANIE OFIAR WALK ULICZNYCH

aby w teatrach było pełno



Pytanie to stało się dla dyrektorów teatrów hamletowskiem „być, albo nie być"... Nietylko u nas, ale wogóle na całym świecie. Dyrektorzy teatrów nie wiedzą już sami, co i jak wystawiać...

Ukaże się w jakimś teatrze dramat — publiczność twierdzi, że życie jest zbyt smutne, aby patrzeć na dramaty sceniczne. Dosyć ich mamy w domu z komornikami, podatkami, zaprotestowanemi wekslami, z wiosennym kostjumem dla żony. Wystawi się komedję — też nie chcą chodzić: za ciężkie czasy, aby się śmiać... Nawet rewja przestała być atrakcją. Moja ciocia Klotylda twierdzi, że to Sodoma i Gomora, a wuj Hipolit nie chodzi na rewję z innych względów:

— Znudziło się już człowiekowi patrzeć ciągle na te same golizny... mogliby coś więcej pokazać...

Sęk tylko w tem, co mogą jeszcze te biedulki pokazać, aby zachęcić publiczność...

Nie jest wabikiem „Hamlet" w smockingach, ani „Orfeusz w piekle" z samochodami i jazzbandem. Publiczność nie pójdzie do teatru, nawet gdyby zapowiedziano, że „Lady Macbeth" odtańczy taniec na drucie. a Konrad na zakończenie „Improwizacji" wykona śmiertelne salto mortale i z cylindra, pożyczonego od pana w pierwszym rzędzie, wyciągnie żywego prosiaka.

Drapią się tedy dyrektorzy w łysiny, lub czupryny, o ile tych jeszcze w tym miłym zawodzie nie stracili, załamują ręce i jęczą zgodnym chórem:

— Co robić?... Co grać?...

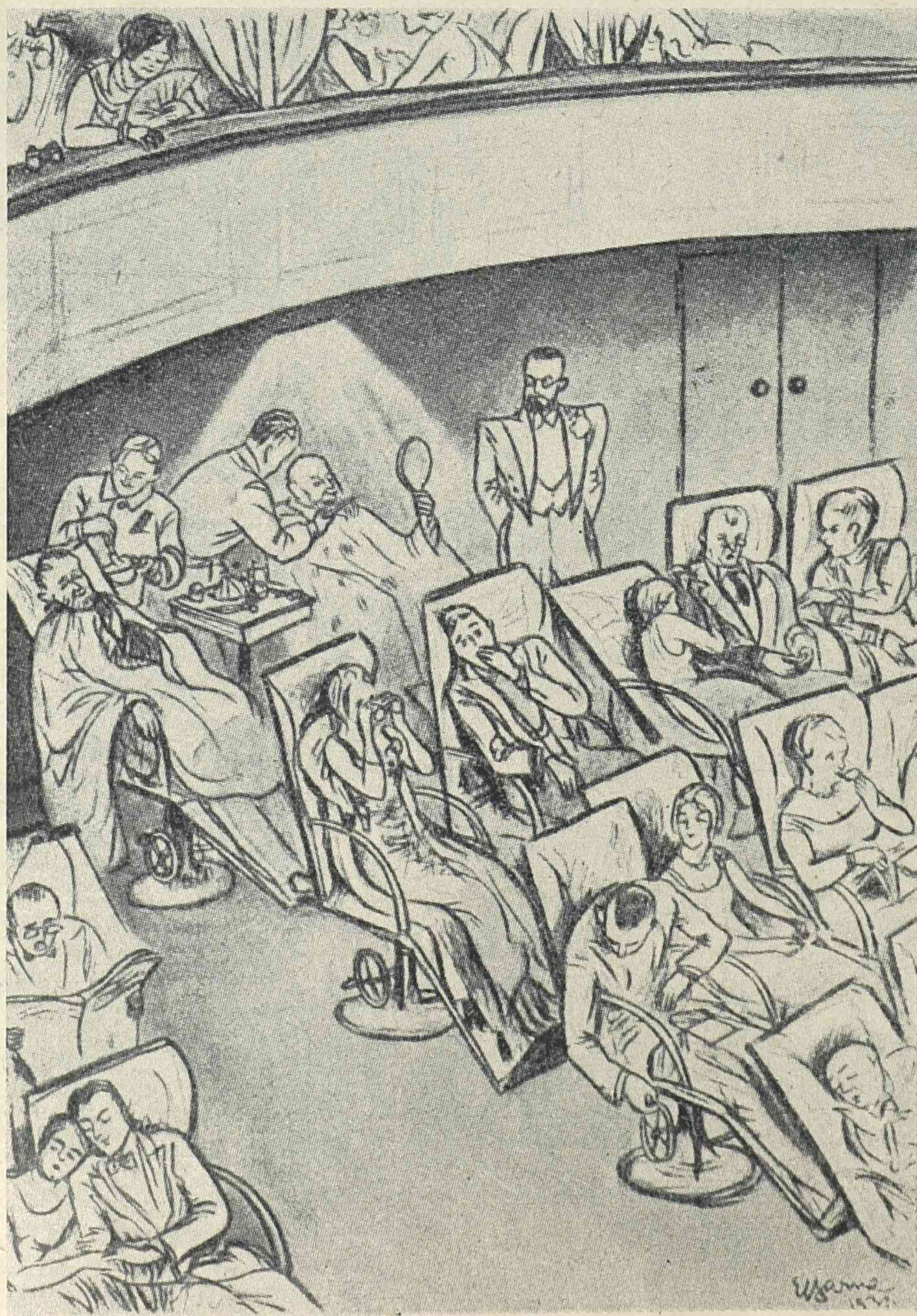
Nawet „Virtuti militari" nie ratuje sytuacji. Właściwie wszyscy kierownicy teatrów powinni dostawać (a nie wystawiać) ten piękny order za odwagę i bohaterskie zmaganie się z apatją publiczności.

Jestem wielkim przyjacielem teatru i losy jego obchodzą mnie nie mniej, niż dyrektorów. Chciałbym bardzo jakoś pomóc teatrowi, aczkolwiek nie mam zamiaru zakładać jeszcze jednego w Warszawie. Raz mi wprawdzie groziło to nieszczęście, lecz los ulitował się w ostatniej chwili nademną i zamienił na.. dożywotnie małżeństwo; ale w danym wypadku nie miało ono nic wspólnego z teatrem.

Skoro więc dyrektorzy nie mogą znaleźć sposobów, któreby zapełniały widownię, a tembardziej kasę, pozwolę sobie podać kilka rad. Jeśli chociaż jedna z nich da pożądany rezultat, będę szczęśliwy.

Bardzo ważną rzeczą w teatrze jest miejsce. Trzeba powiedzieć otwarcie, że krzesła i fotele w naszych teatrach nie są wygodne. Ani się zdrzemnąć na tragedji, ani przytulić do sąsiadki na romantycznej komedji, kiedy ze sceny spływają słowa rozpalone miłością, ani przeciągnąć wygodnie, gdy akcja rozgrywa się na słonecznej plaży.

Należałoby więc ciasne krzesła zamienić na głębokie fotele, nawet dwuosobowe. Wtedy, zwłaszcza sztuki nastrojowe, gdy na scenie i widowni jest zupełnie ciemno, będą miały zapewnione powodzenie.



Utwór dramatyczny jest wytworem ducha i ducha tego w teatrze podtrzymywać należy. W poręczy więc każdego krzesła należy umieścić odpowiednie kraniki, z których spływałaby nasza poczciwa „Wyborowa", lub inny nektar spirytualny. Nawet najzacieklejszy abstynent chętnie odwilży gardło, gdy usłyszy zachrypnięty głos ze sceny Chudogęby — Solskiego. A komuż nie przyjdzie chętka popić na pięknem przedstawieniu „Miodu kasztelańskiego", lub na widok zawsze przedniego Węgrzyna?

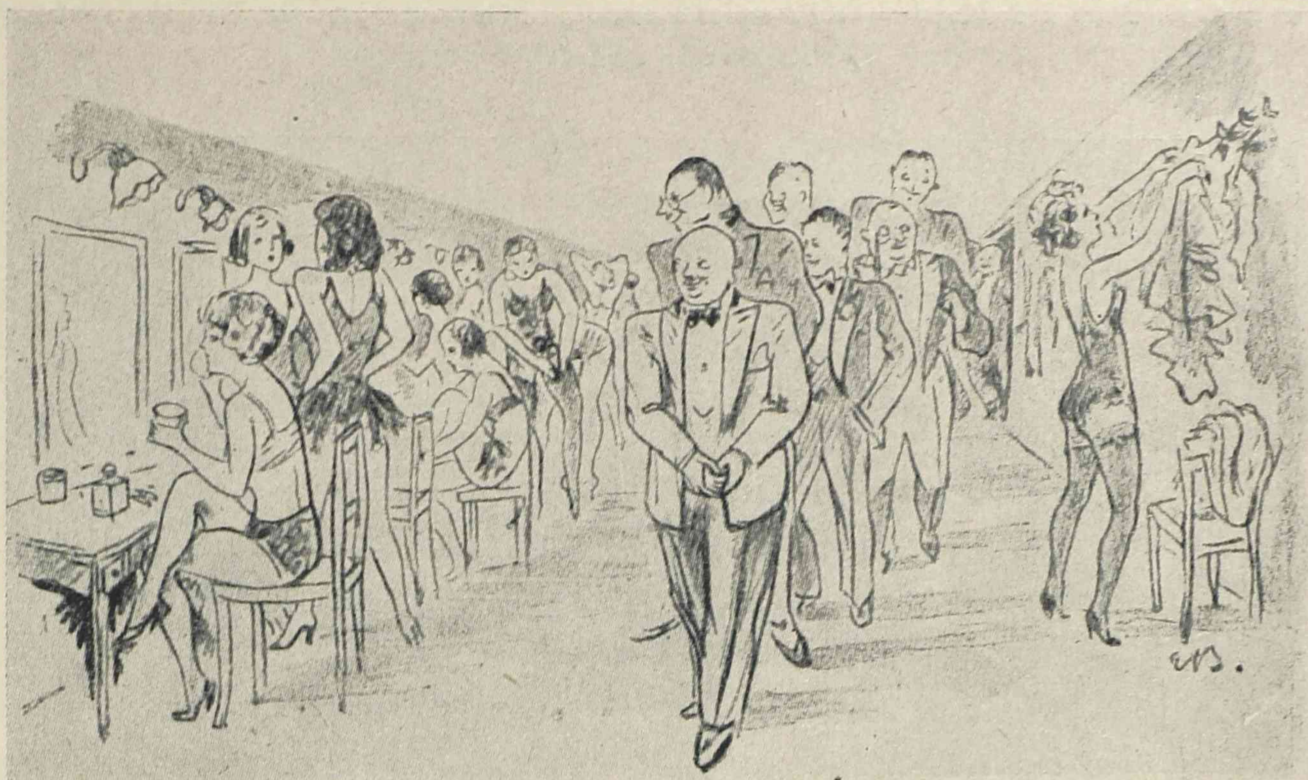
Publiczność przyzwyczaiła się do premji i loterji. Nawet taki, co kupuje gazetę za 10 gr., chce wygrać samochód, albo pięciopokojową willę, z kompletnem umeblowaniem. Dyrektorzy teatrów też powinni bezwzględnie dodawać premje do wykupionych biletów. Każdy z panów otrzymywałby fotografję z własnoręcznym autografem Ćwiklińskiej, Malickiej, Kamińskiej, Romanówny, Gorczyńskiej, Modzelewskiej, Pogorzelskiej. Tak samo paniom ofiarowywanoby podobizny Węgrzyna, Różyckiego, Leszczyńskiego, Osterwy, Wesołowskiego, Kurnakowicza lub mistrza Solskiego.

Melomanom zaś, kupującym miejsca w pierwszym i drugim rzędzie, dołączaćby należało specjalny kupon, upoważniający do wstępu podczas antraktu za kulisy i do garderób. Tam mogliby robić poważniejsze studja teatrologiczne i porównywać, czy wrażenie sceniczne daleko odbiega od rzeczywistości.

Ważną rolę, zwłaszcza u pań, odgrywa toaleta. Bardzo często decyduje ona o pójściu do teatru. Zagadnienie to wyjaśniła mi kuzynka, osóbka wcale nieźle sytuowana, która na pytanie,

dlaczego tak rzadko bywa w teatrze, odpowiedziała:

— Nie stać mnie na to. Przecież na dwie premjery nie mogę iść w tej samej sukni... Wolę iść do kina, gdzie siedzę w futrze. Zresztą w kinie jest ciemno — nikt nie widzi, jak jestem ubrana.



Takich jest wiele. Wobec tego, dyrektorzy teatrów powinni przed premjerami, zwłaszcza temi, które zaliczają się do uroczystych, urządzać specjalne tombole. Wszystkie panie, wygrywając piękną toaletę, stałyby się zawodowemi bywalczyniami na przedstawieniach. O sztukę nie chodziłoby zupełnie, tylko o pokazanie się.

Dla starszych panów możnaby zorganizować w lożach małą partyjkę bridża. Gwarantuję, że wówczas loże nie świeciłyby pustkami. Tego rodzaju dodatek do przedstawienia podnosiłby ogromnie nastrój.

Proszę sobie wyobrazić: przyćmione światło na widowni. W każdym fotelu (cóż za uroczy sen dla dyrektorów) majaczy sylwetka ludzka. Tysiące źrenic skierowanych na scenę. Osterwa, piękny jak „Don Carlos", deklamuje:

Ledwo zażyję rąk uścisku,
ledwo popatrzę w wasze lice
i miły wchłaniam czar oddechu,
w wasze patrzący źrenice,
już odwołują mnie w pośpiechu...



A tu, z loży, rozlega się jadowite:

— W ministerstwie pracować, a nie w bridża grać...

Nazajutrz przedstawienie jest szeroko komentowane w kawiarni:

— Niech pan sobie wyobrazi, co wczoraj było w teatrze. Gramy w bridża... Osterwa też bardzo ładnie grał, ale na scenie; ja zapowiadam kiery... A ten wychodzi z pod trzeciego króla karowego... Myślałem, że szlag mnie trafi!...

— Doskonale pana rozumiem!... I po co tacy chodzą do teatru?...

Dość często słyszy się, iż osobom mieszkającym na peryferjach miasta trudno wybrać się do teatru. Pójść ostatecznie można, ale jak wracać?... Ani tramwaju, ani autobusu, a odrazu wydać kilka złotych na taksówkę, to za droga przyjemność...

Dla tej kategorji widzów należałoby uruchomić specjalne luksusowe auta, przywożące i odwożące po przedstawieniu. Nawet nie byłby to zbyt wielki wydatek. Przy naszych idealnych drogach i coraz lepszem, oszczędnościowem oświetleniu, samochód podczas drugiej tury razem z pasażerami leżałby już w rowie. A resztę zapłaciłyby towarzystwa asekuracyjne. W tym wypadku, każdy widz miałby podwójne szanse: — ozbaczenia sztuki i otrzymania grubszej premji za połamane żebra.

Jest jeszcze szereg innych sposobów ściągnięcia publiczności do teatrów. Trzeba tylko trochę pomyśleć. Dyrektorzy teatrów powinni skończyć z przedpotopową dewizą „sztuka dla sztuki" i pójść z prądem czasu. Można rozdawać rasowe pieski, albo bilety do łaźni. Do każdego biletu dołączać doniczkę do kaktusa, papierośnicę z portretem postaci historycznej lub pudełeczko z inną „niespodzianką". Wszystkie drogi prowadzą do kasy.

Panowie dyrektorzy! zrealizujcie którykolwiek z moich pomysłów, a *w teatrach napewno będzie pełno...*

Jan Sokolicz Wroczyński

TROCHĘ HUMORU OD STRONY WIDOWNI

Podsłuchane w kuluarach „Narodowego" na „Karlosie".

— No, jakże się pani podoba?

— Wspaniale! Wie pan, teraz już sama nie wiem, czy wolę Osterwę w piżamie z „Nocy poślubnej", czy w stroju hiszpańskim z „Karlosa"...

. . . .

Koneser - meloman (z tych „przedwojennych"):

— No, bezwątpienia, wcale, wcale udatne widowisko! I nawet bogate, jak na te czasy. Ale przecież to nie to, moi państwo, co przed dwudziestu paru laty. Wtedy — na deskach „Wielkiego" oczywiście! — w scenie balowej, pamiętam, brał udział cały kordebalet, chóry, i wszystkie solistki: Gaszewska, panie, Gnatowska, Pawińska...

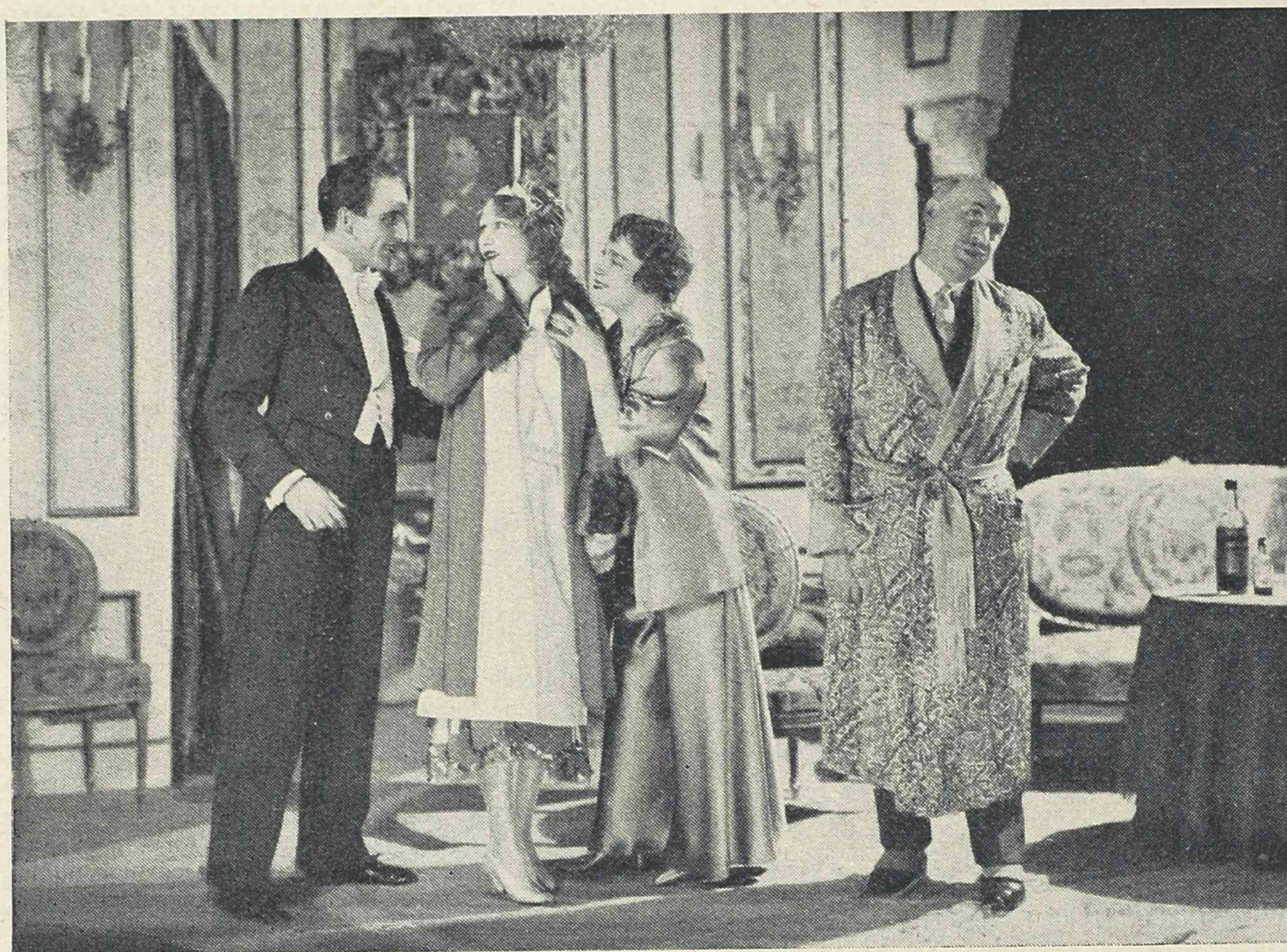
— Przecież w „Karlosie" niema sceny balowej...

— Bo ją skreślili! Musieli skreślić! Balet nie należy do kompleksu dawnych teatrów miejskich. Trudno: kryzys, moi państwo...

Nikt nie obronił poety przed „kryzysem"...

em.

Teatr Polski: „Ich synowa", Komedja w 3-ch aktach Ad. Grzymały-Siedleckiego



WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH PP.: PAWŁOWSKI, MODZELEWSKA, PRZYBYŁKO-POTOCKA I STANISŁAWSKI Fot. St. Brzozowski

RENESANS KULTU NAPOLEONA... W TEATRZE

Teatr Narodowy wystawia, jak wiadomo, bezpośrednio po Szyllerowskim „Don Karlosie" głośną sztukę Mussoliniego i Forzana „Pole Marsowe", dosłownie: „Pole majowe" (Campo di Maggio), graną z wielkiem powodzeniem w Paryżu pod bliższem zrozumieniu szerokiej publiczności tytułem: „Sto dni", a zapowiedzianą na najbliższy czas w Londynie pod jeszcze zrozumialszym nagłówkiem: „Sto dni Napoleona". Taki też tytuł sztuka otrzyma i u nas, w przekładzie i opracowaniu dla scen polskich, dokonanem przez Bol. Gorczyńskiego.

Aktualnie w Teatrze Ludowym w Berlinie (Volksbühne), jednym z najlepszych teatrów Niemiec współczesnych, wystawiono pierwszą sztukę słynnego tragika niemieckiego — zresztą ziomka Mussoliniego — Włocha Aleksandra Moissiego: „Wielki więzień". Jest to jakby dalszy ciąg sztuki „Sto dni Napoleona". Gdy bowiem u Forzana i Mussoliniego przedstawiane są wypadki od powrotu cesarza z Elby do wyjazdu na Świętą Helenę, u Moisiego udramatyzowany jest kilkoletni aż do śmierci pobyt wielkiego Korsykanina na wyspie.

W ubiegłym sezonie znany dramato- i powieściopisarz austrjacki, Stefan Zweig wystawił na wielu scenach niemieckich sztukę z okresu wojen napoleońskich p. t. „Owieczka ubogiego"; inny znów dramaturg niemiecki Walter Hasenclever — komedję satyryczno-groteskową p. t. „Napoleon interwenjuje" (Napoleon greift ein). Trzeci autor niemiecki o nazwisku zupełnie jeszcze nieznanem szerszemu ogółowi kulturalnemu wystawia parę miesięcy temu w Hamburgu sztukę historyczną, opiewającą wyłącznie romans Napoleona z panią Walewską.

W tece repertuarowej dawnych teatrów miejskich znajduje się komedja historyczna — o Napoleonie, generale, konsulu, wreszcie cesarzu — pióra poczytnego włoskiego pisarza dramatycznego, Hugona Falery, p. t. „Małżonka królów" (Sposa dei re). Współautor „Stu dni Napoleona" Joachim Forzano wystawił i ogłosił drukiem w ciągu paru lat ostatnich dwie jeszcze inne sztuki napoleońskie, z których jedna p. t. „Napoleon i kobiety" przedstawia również dzieje miłości cesarza do Marji Walewskiej.

Wreszcie — znany i świetny poeta i pisarz sceniczny francuski Jerzy de Bouhélier wystawia niebawem w paryskim Odeonie najnowszą swą sztukę — o Napoleonie.

Nakoniec na afiszach licznych scen: w Paryżu, w Niemczech, w Pradze Czeskiej i we Włoszech widnieje w ostatnich tygodniach wznowienie słynnej sardouowskiej „Madame Sans Gêne"...

Tyle premjer: niemieckich, włoskich, francuskich o Napoleonie, — tyle afiszów europejskich z osobą Wielkiego Korsykanina!... Czyżby nieumówiony a powszechny renesans legendy napoleońskiej?

Nie od rzeczy będzie przytoczyć na tem miejscu charakterystyczne dane o wykonawcach roli Bonapartego w różnych krajach, na różnych scenach. W Paryżu w „Stu dniach" cesarza odtwarza jeden z najwybitniejszych aktorów współczesnej Francji, znany u nas z kilkudniowego pobytu przed paru laty — Firmin Gémier. W Berlinie „Wielkiego Więźnia" gra największy może z żyjących aktorów niemieckich — Albert Basserman. U nas, w Teatrze Narodowym cesarzem będzie — Wojciech Brydziński. Paryski Napoleon — Gémier i berliński Napoleon — Basserman są obaj, jeżeli wręcz niebardzo wysokiego, to conajmniej — wysokiego wzrostu. Odpowiadają więc raczej historycznemu przydomkowi: Wielki Korsykanin. Nasz Napoleon — Brydziński będzie bardziej zbliżony do obowiązującego poniekąd, legendowego wyobrażenia o — Małym Kapralu..

b.

TEATRY MIEJSKIE W WARSZAWIE

Powodzenie. Na całej linji powodzenie. „Don Karlos" wypełnia co wieczór doszczętnie salę Teatru Narodowego, przyjmowany jest przez publiczność wprost entuzjastycznie. Wykonawcy ról głównych — z Solskim na czele (a więc: Malicka, Lindorfówna, Osterwa, Węgrzyn, Socha), oklaskiwani są gorąco. Zapowiada się długi łańcuch przedstawień, za kulisami przepowiadają „Don Karlosowi" piękną karjerę „Don Żuana". W Teatrze Letnim na „Wesołym wspólniku" rozbrzmiewa śmiech beztroski. Ćwiklińska, Fertner i Leszczyński dokonują cudów humoru: sala huczy nieustannemi wybuchami wesołości. I wreszcie w Teatrze Nowym „Święty Płomień" coraz większe budzi zainteresowanie. Oryginalna rzecz: frekwencja publiczności stale się zwiększa. Jeszcze raz sprawdza się teatralna sentencja o znaczeniu poczty pantoflowej.

Tem nie mniej we wszystkich trzech teatrach odbywają się energiczne próby z nowych sztuk: ze „Stu dni Napoleona" Mussoliniego, z „Banku Nemo" Verneuil'a i z czarującej, pełnej pogody i sentymentu komedyjki włoskiej „Addio, giovinezza!"

Z KONSERWATORJUM



MIKOŁAJ ORŁOW, ŚWIETNY PIANISTA, NA KONCERCIE SYMFONICZNYM W FILHARMONJI ZAGRAŁ Z NIEZWYKŁĄ BRAWURĄ UTWÓR CZAJKOWSKIEGO. W D. 8 B. M. NA RECYTALU W KONSERWATORJUM WYKONAŁ BOGATY PROGRAM, PORYWAJĄC SŁUCHACZY

Najmodniejszy taniec: Rumba!

Najmodniejszy taniec „Rumba" pochodzi z Kuby. Tańczą go tam solo wyłącznie kobiety przy dźwiękach gitary, skrzypiec i grzechotek. Danserka ubrana jest w specjalny kostjum, składający się z szerokiej spódnicy i chusteczki na nagiej górnej części tułowia.

W Europie „Rumbę" tańczy się we dwoje. „Pas" zawiera krok naprzód i dwa kroki wstecz. Istota tego tańca polega na doskonałem wyczuciu rytmu. Takt jest ćwierciowy, a tempo odpowiada 44 taktom na minutę. Trzeba się strzedz pomieszania rumby z polką. Zasadniczo wykonuje się dwa razy po trzy krótkie pas, wytrzymując pomiędzy niemi maleńką pauzę. Mężczyzna zaczyna lewą nogą naprzód, kobieta prawą wstecz. Liczy się przytem tak: lewa — prawa, lewa — pauza, prawa — lewa — prawa — pauza. Końce stóp są zawsze naprzeciw siebie i nie mogą być wystawione na zewnątrz.

Teraz i na Kubie tańczą „rumbę" parami. Jest to jednak już taniec, wzorowany na europejskiej przeróbce.



„Fot. The New-York Times"

KUBANKA POUCZA SWEGO SYNA, JAK NALEŻY TAŃCZYĆ „RUMBĘ"

W OJCZYŹNIE „RUMBY" NA KUBIE: KUBAŃCZYCY TAŃCZĄ Z ZAMIŁOWANIEM SWÓJ NARODOWY TANIEC

SALVATOR GOTTA

ZŁODZIEJ

Zaledwie Fiat skręcił na róg ulicy, zamierzając wejść w bramę domu, w którym mieszkał, gdy ujrzał nagle wychodzących małżonków Verzini, odświętnie ubranych, ją nieomal elegancką — w jedwabnej sukni i w boa z białych piór dookoła szyi.

Jakiż dziwny zbieg okoliczności! Przez cały ten wieczór aż do przekroczenia progu bramy Fiat o niczem innem nie myślał, jak o wieczornym trybie życia obojga Verzinich. Biedakowi aż krew uderzyła do głowy. Otóż są! Zagadka rozwiązana! Gdzieżby mogli się wybierać, tak wystrojeni, o tej porze, jak nie do teatru? Dochodziła godzina dziewiąta.

Na wszelki wypadek Fiat chciał się co do tego upewnić: postał więc chwilę przed bramą, śledząc wzrokiem z pozorną obojętnością za oddalającymi się sąsiadami domu, poczem ruszył w ślad za nimi w odległości pięćdziesięciu kroków, przecinając różne poprzeczne uliczki aż do wejścia do teatru.

— Dobrze, dobrze! szepnął do siebie radośnie, jak gdyby ciężar spadł mu z serca. Wrócił tą samą drogą do domu i wszedł na swe poddasze.

Pomieszczenie było obszerne i miłe. W środku stał okrągły stół, przykryty ciemną serwetą, na nim różne dziwaczne drobiazgi, a wkoło rozstawione cztery krzesła i wygodny fotel; przy ścianie w głębi — biało zasłane łóżko, a przy oknie drugi stół kwadratowy, na którym piętrzyły się różne papiery. Cztery nierówne ściany poddasza pokryte były prawie całkowicie rysunkami i szkicami, przedstawiającymi postacie kobiece, głowy męskie i motywy dekoracyjne, rysowane nie bez zdolności; na wprost stołu zwracał uwagę akt nagiego różowego dziecka o śmiejącej się twarzyczce z rączką podniesioną w górę, jakby na znak powitania.

Piotr Coromelli, którego w mieście, niewiadomo dlaczego, wszyscy przezwali Fiatem, był z zawodu rysownikiem, tak przynajmniej figurował w liście lokatorów. W rzeczywistości jednakże rysunki nie były jedynem źródłem jego utrzymania. Czem właściwie się zajmował? Ba! Z czego żył? Nikt dokładnie nie wiedział. Gdy w małem prowincjonalnem mieście ukazał się ten przystojny trzydziestoletni mężczyzna, źle ubrany, o rozwianym krawacie, posypały się najróżnorodniejsze domysły:

— Skąd przybywa? Kim jest właściwie? Artysta... pośrednik... szpieg policyjny... uciekinier z Rosji... złodziej... a może anarchista?

W rezultacie opinja publiczna wydała dwa krańcowo sprzeczne wyroki: że Fiat był anarchistą, co potwierdzał jego dziwacznie zawiązany krawat, i że był tajnym agentem policji, ponieważ nieraz widywano go w towarzystwie przedstawiciela władz bezpieczeństwa. Odtąd kobiety spoglądały na niego z obawą, a mężczyźni starannie go omijali.

Istotnie jednak Piotr Coromelli stale niedojadał, raz dziennie tylko zaspakajając swój głód. Wprawdzie miał zamówienia na wzory do haftów i karty ilustrowane dla pewnej niemieckiej firmy, lecz pracował tylko wieczorami, gdy był lekko podchmielony, w dzień zaś wolał włóczyć się samotnie wzdłuż miejskich wałów, z rękami w kieszeniach, lub też wracał na swe poddasze, gdzie gryzmolił po papierze jakieś bezmyślne bohomazy. Z pewnością był trochę nienormalny, jednakże jego nieliczni znajomi utrzymywali, że posiadał pewną inteligencję i nawet zmysł polityczny w walkach partyjnych i wszelkich zmianach ministerjalnych.

Pewnego wieczoru, gdy tak samotny i zgłodniały, jak zwykle, wałęsał się bez celu za miastem, natknął się na kobietę z ludu, która obrzuciła go długiem spojrzeniem; był raczej tem zdziwiony, aniżeli wzruszony; kobieta nie była ładna, jednakże wydało mu się dziwnem, że choć taka zwróciła na niego uwagę! Następnego wieczoru wrócił na to samo miejsce, zastał tam nieznajomą, która się znów w niego wpatrywała; przemówił do niej, odpowiedziała i wkrótce zawiązał się między nimi bliski stosunek. Po roku Fiat został ojcem, rozpłakał się z radości na tę wiadomość i odtąd stał się rozumnym, ożywionym i pracowitym. Spędzał długie godziny u boku swego różowego dziecka, pełen bezgranicznego szczęścia, wpatrzony w niebieskie oczy swego syna i pochłonięty całkowicie tem nieoczekiwanem zdarzeniem, które odrazu zmieniło sens całego jego dotychczasowego bezcelowego życia, wprowadzając go w sferę najżywotniejszych zainteresowań. Ponieważ matka z braku pokarmu sama nie mogła karmić, Fiat z zapałem wziął się do pracy, rysując wzory i setki kart ilustrowanych, aby módz niemowlęciu opłacić mamkę. Lecz po roku dziecko umarło. Fiat teraz znów popadł w dawną bezczynność i apatję. Przyjście na świat syna było jakby pięknym snem, po którym obecne życie o głodzie wydawało mu się jeszcze bardziej szarem i okrutnem. Od czasu do czasu jakiś niewielki zarobek...

Lecz firma niemiecka, która mu dawała zamówienia, od miesiąca zbankrutowała i Fiat już teraz wcale nie jadał. Tego dnia właśnie nic nie miał w ustach, a poprzedniego — talerz zupy, ofiarowany mu przez litościwą sąsiadkę, niezbyt go nasycił. Głód szarpał mu wnętrzności i wówczas kusicielski głos szepnął mu do ucha:

— Idź obrabować Verzinich.

Wprawdzie mógł sprzedać coś ze swoich mebli, lub zastawić duży złoty zegarek, pamiątkę po zmarłym ojcu, lecz myśl tę odrazu odrzucił, zbyt bowiem dbał o ład i czystość swego pokoiku, a zegarek po ojcu był mu świętością; zresztą o wiele wygodniej było ukraść.

Z początku jednak trapiły go różne wątpliwości, i rozważał wszelkie możliwe przeszkody. Czy małżonkowie Verzini bywali wieczorami w domu? Drzwi wejściowe czy były zabezpieczone angielskim zamkiem?

W tym stanie ducha spotkanie Verzinich było dlań decydującym bodźcem.

*

Dotarł do swego poddasza, tam zdjął obuwie, przez okienko dostał się na dach, ostrożnie spuścił się po murze i, oparłszy nogę na wystającym gzymsie balkonu, uchwyciwszy się jednocześnie rynny, kocim skokiem przesadził balustradę. Zimowa mroźna noc, zdało się, zagłuszyła wszelki głos ludzki; milczenie i mrok panowały wszechwładnie, tylko w dwuch oknach, wychodzących na balkon, bieliły się firanki.

Fiat ostrożnie zapomocą noża wyjął szybę z okiennej ramy i cichutko wsunął się do pokoju. Cisza i ciemność, tylko miłe, łagodne ciepło domowego ogniska, coś, co nasuwało myśl o rodzinie, spokoju i wygodnem mieszkaniu... Przekręcił kontakt, i światło z dwuch lamp elek-

trycznych zalało pokój jasnością, odsłaniając nawet najbardziej ukryte sprzęty. Był to salon, który służył Verzinim za jadalnię; pokój kwadratowy, umeblowany po staroświecku, typowy prowincjonalny salonik mieszczański, z lustrem, kredensem i nieodłącznym mahoniowym zegarem, jak również olejnemi portretami dziadków na ścianie.

Fiat w świetle nabrał animuszu i pewności siebie: państwo w teatrze, służąca napewno pogrążona we śnie w swym pokoiku za kuchnią. Zaczął więc przedewszystkiem plądrować tu we wszystkich szufladach, lecz znalazłszy w nich jedynie bezwartościowe drobiazgi, pozostawił je na miejscu.

Zgasił więc światło, poczem przez niedługi korytarzyk, prowadzący z przedpokoju, przestąpił próg sypialni. W obszernym pokoju królowało łoże małżeńskie, niepokalanie białe, wysokie, uroczyste, jak ołtarz. Czegóż mógł tu szukać? Otworzył szafę, pełną sukien i ubrań, szedł już w kierunku komody obok okna w głębi, gdy nagle ujrzał tuż przy łóżku... wznoszącą się metalową kołyskę...

— Ach łotr ze mnie! Łotr!

Przygotowując swój plan kradzieży, Fiat zapomniał o pewnej ważnej okoliczności: małżonkowie od półtora roku mieli dziecko.

Drżący, blady jak wosk, złodziej zbliżył się do kołyski i lekko uchylił firaneczkę... Oto dziecko! Śliczne, różowe dzieciątko o jasno-blond włosach. Śpi, jak mały mężczyzna, na lewym boczku, z nawpół rozwartą buzią i rączką na kołderce.

Biedakowi, na ten widok, serce tak silnie zabiło, że poprostu stracił przytomność. Stał w niemym zachwycie, zapominając nagle o swym niecnym zamiarze, pochłonięty jedynie gwałtowną falą wspomnień, zalewających mu duszę niewypowiedzianą słodyczą.

Jasnowłose, różowe dziecko! Widać było jego drobną, lekko odsłoniętą pierś, podnoszącą się w równym miarowym oddechu... Fiat drżący stał nachylony nad kołyską, szczęśliwy, że może podziwiać to śpiące dzieciątko jasne i tak piękne, jak jego maleństwo, i nagle obudziło się w nim pragnienie, dawno przeżyte i pogrzebane.

— Jeżeli się obudzi? — pomyślał — żeby tak módz wziąć go na rękę! Jakaś żądza nim owładnęła, nachylić się i pocałować go w różowy policzek. Musi być cały ciepły pod tą grubą kołderką. Ma już półtora roku, mój Boże! Jego synek, mając rok, był już taki duży! Czy też już umie mówić i chodzić? Jego dziecko już do roku biegało i szczebiotało...

— Otóż się rusza, przewraca na drugą stronę!

Dziecko odwróciło główkę na poduszce, skrzywiło się rozkosznie, westchnęło przeciągle, rączkami zaczęło przecierać powieki, poczem utkwiło dwoje zdziwionych niebieskich ocząt w nachylonym nad nim mężczyźnie.

— Boże miłosierny. Przebudziło się.— Fiat bowiem przez nieuwagę wprawił w ruch kołyskę.

Przez kilka sekund dziecko wpatrywało się tak w nieznajomego człowieka, potem, snać przestraszone, czy to kępką włosów, wysuwających się z pod czapki, czy też czarnym krawatem, a może niesamowitym wyglądem Fiata, zmarszczyło czoło i zapłakało z początku cicho i rzewnie, później coraz głośniej i rozpaczliwiej.

Oszalały ze strachu Fiat wziął dziecko na rękę, owinął gołe nóżki kołderką, przytulił mocno do siebie, chcąc stłumić jego płacz, lecz dzieciak coraz głośniej krzyczał i wyrywał się z rąk. Napewno przebudzi służącą...

— Boże mój! Boże! — Fiat nie wiedział już, co ma robić, kręcił się po pokoju w poszukiwaniu jakiejś zabawki i szeptał:

— Skarbie mój! Skarbie! Cicho, bądź grzeczny. Zaraz przyjdzie mamusia, o już jest mamusia! A może chcesz lalkę? zaraz ci dam lalkę!

Nagle zbawienna myśl przyszła mu z pomocą: położył małego złośnika do łóżeczka i przytknął mu do ucha swój złoty zegarek, z którym się nigdy nie rozstawał. Ten zegarek, który tyle razy był natychmiastowym pocieszycielem jego maleństwa.

— Słyszysz, kochanie: tik-tak, tik-tak...

Dziecko uciszyło się odrazu. Siedząc w kołysce, przysłuchiwało się uważnie miarowemu tykaniu, później zapragnęło wziąć zegarek do rączki i, oglądając go na wszystkie strony, zaczęło się uśmiechać. Od tej chwili Fiat stał się jego przyjacielem. A nowy przyjaciel, szczęśliwy nad wyraz, widząc ten uśmiech i tę nagłą życzliwość, przyklęknął obok niego, pokorny jak niewolnik, posłuszny na każde skinienie malca, który wyciągał do niego pieszczotliwie rączki, lub szarpał za krawat i włosy, przy najlżejszem jednak usiłowaniu odebrania mu zegarka mały tyran groźnym krzykiem przeciwstawiał się temu, i Fiat momentalnie ustępował. Aż nareszcie zmęczone maleństwo, powoli opuszczając główkę na poduszkę, usnęło, ściskając w swych rączkach cenną zdobycz.

Skrzypnięcie...

Mężczyzna wskoczył na równe nogi i nadstawił uszu. Tak, tak — to odgłos klucza, przekręcanego w zamku, szmer stawał się coraz wyraźniejszym. Jednym susem Fiat był w salonie, zgasiwszy światło właśnie w chwili, kiedy się drzwi otworzyły i weszli oboje Verzini. Przyciszone głosy, szelest kroków i jedwabnej sukni pani...

— Verzini, naturalnie, nie omieszka donieść policji o włamaniu. Czy posądzą mnie? Czy zostanę aresztowany?

Przez kilka dni Fiat żył w ciągłej obawie; lecz w rzeczywistości nikt nie meldował w policji, i w całym domu nawet najlżejszej wzmianki nie było o tem, co zaszło. Trochę zdziwiony i zaciekawiony, Fiat po upływie miesiąca odważył się zaczepić na schodach p. Verzini z zapytaniem:

— Przepraszam. Może pan będzie łaskaw powiedzieć mi, która godzina?

Elegancki mężczyzna z pośpiechem wyciągnął z kieszonki duży złoty zegarek, który Fiat poznał natychmiast, jako swój.

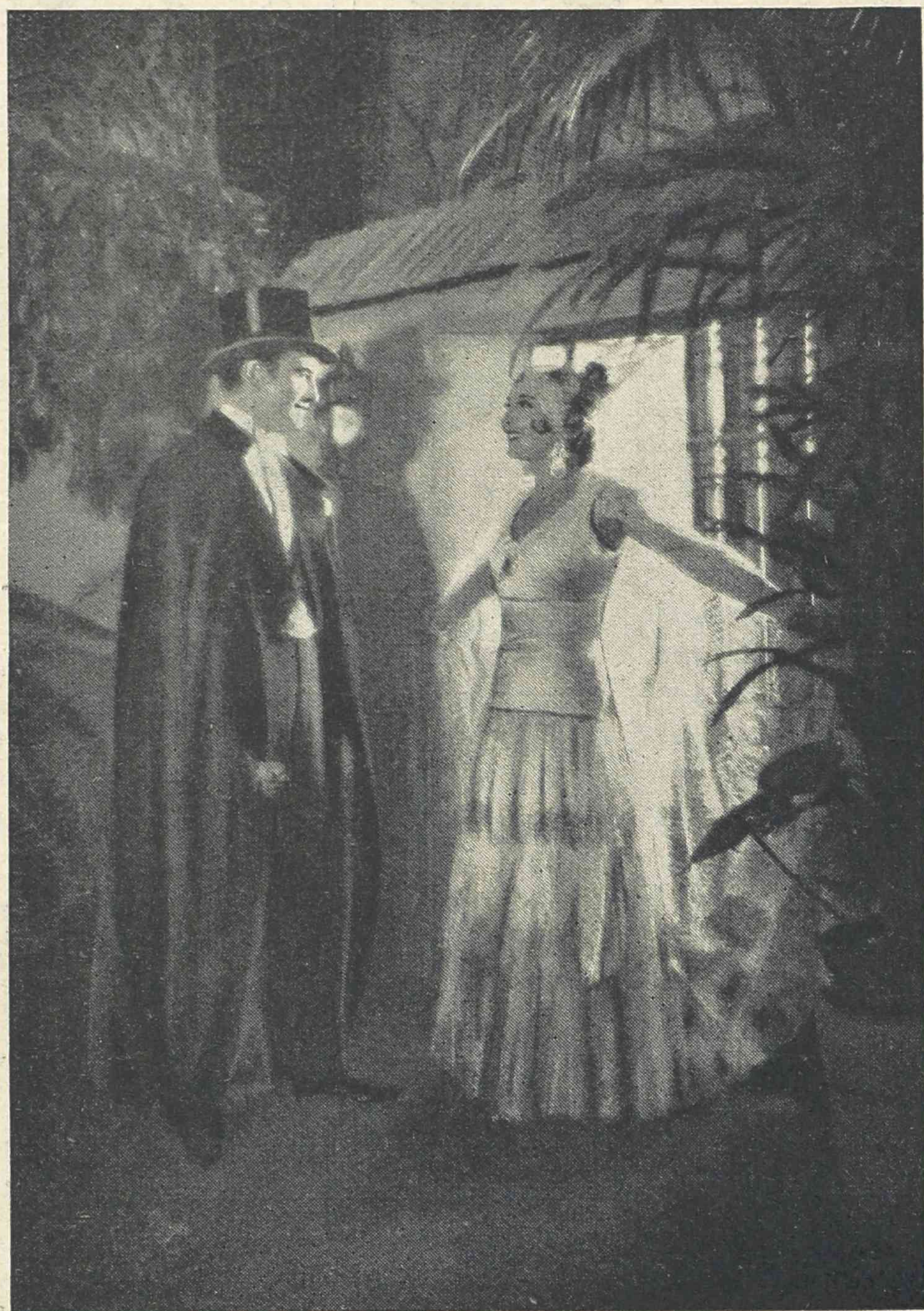
— Trzy kwadranse na ósmą, — odpowiedział.

— Dziękuję.

Tłumaczyła z włoskiego
Stefanja Peltynowa.

NOWY POLSKI FILM „PUSZCZA“ PG. POWIEŚCI J. WEYSSENHOFFA

Reżyserja Ryszarda Biske, Scenarjusz Z. Dromlewiczowej





WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH: NINA GRUDZIŃSKA I JERZY MAR

Wybory prezydenta w Niemczech



DNIA 13 B. M. ODBĘDĄ SIĘ W NIEMCZECH WYBORY NOWEGO PREZYDENTA RZESZY. WSZYSTKIE SŁUPY, ŚCIANY DOMÓW WYKLEJONE SĄ AFISZAMI AGITACYJNEMI. NAJCZĘŚCIEJ SPOTYKA SIĘ PLAKATY NAWOŁUJĄCE DO GŁOSOWANIA NA HINDENBURGA I HITLERA

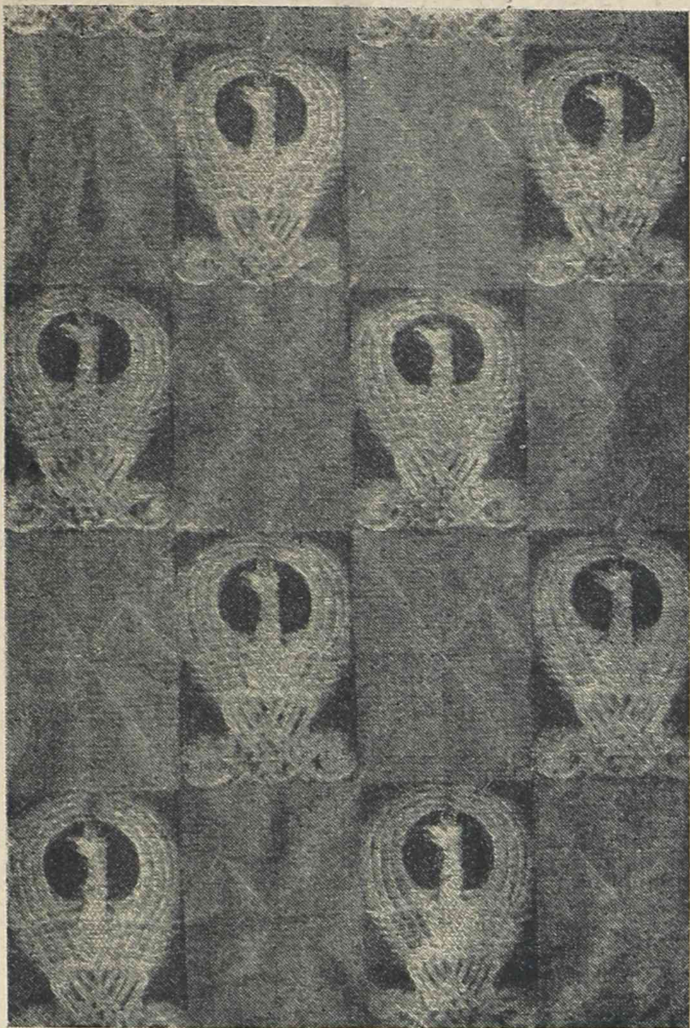
Jak bolszewicy żartują sobie z Konferencji Pokojowej w Genewie

Fot. New York Times



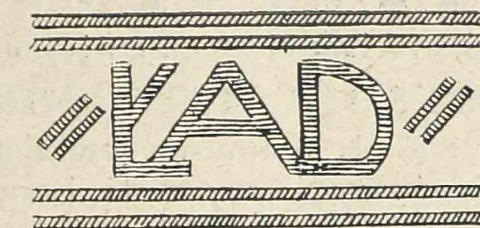


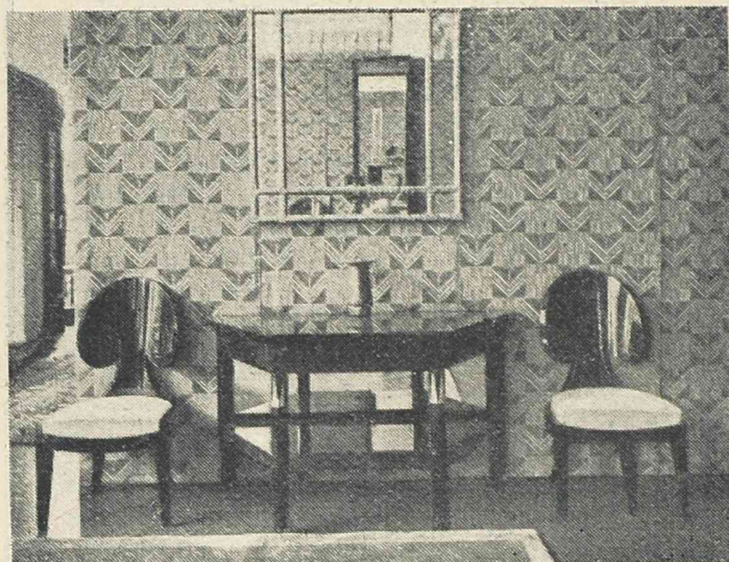
MOSKIEWSKI DZIENNIK „PRAWDA“ ZAMIEŚCIŁ ZŁOŚLIWĄ KARYKATURĘ MARKI SZWAJCARSKIEJ, WYPUSZCZONEJ SPECJALNIE NA PAMIĄTKĘ KONFERENCJI POKOJOWEJ W GENEWIE. ZAMIAST ZŁAMANEGO MIECZA I GOŁĘBIA Z GAŁĄZKĄ OLIWNĄ NARYSOWANO GOŁĘBIA PRZESZYTEGO MIECZEM





1. Tkanina lniana, czerwona w białe orły, jako makata, lub obicie ścian, proj. L. Kintop.





2. Hall w Min. Spraw. Zagr. projektował prof. J. Czajkowski, obicie lniane na meblach wedł. proj. K. Bułhakowej, zasłony wełn. — H. Bukowskiej.

3. Fragment wnętrza, według projektu prof. K. Tichego, ściany obite tkaniną lnianą proj. H. Bukowskiej.

„TO I OWO"

PIERWSZA MAPA POLSKI

Geografów a zresztą nietylko geografów zainteresuje wieść, iż dr. Kazimierz Piekarski, były kustosz Bibljoteki Jagiellońskiej w Krakowie, przeprowadzając rejestrację starych druków i rękopisów w bibljotekach, dokonał nadzwyczaj cennego odkrycia w archiwum głównem w Warszawie. Przeglądając 200 tomów rachunków królewskich i 160 tomów regestrów z żup wielickich i bocheńskich, znalazł w okładkach cały szereg nieznanych druków, stanowiących sensacyjny materjał historyczno - literacki. Rozkleiwszy te okładki, dr. Piekarski spotkał się z fragmentem nieznanego wydania Marchołta. Jest to półarkuszowa składka, 8 stronicowa z 2 drzeworytami i zawierająca djalog między Marchołtem a Salomonem o biblijnej sprawie co do dwóch niewiast, podających się za matkę dziecięcia.

W oprawach dało się odszukać również ciekawe fragmenty z bardzo starego katechizmu, kalendarzy, część wyboru listów Cycerona, gramatykę Donota i t. p. Niepowszednie to zdobycze dla historyków literatury. Wiek XVI zbogacił się nowemi materjałami, dającemi pole do studjów.

Największą sensację wzbudziła jednak mapa, zupełnie nieznana, wykonana zapewne przez Bernarda Wapowskiego. Odnalazł ją dr. Piekarski w okładce rachunkowej żup solnych z roku 1531. Mapa ta jest niewątpliwie dziełem Polaka. Jest to pierwsza, ścisła, rzetelna mapa Polski, opracowana z niezwykłą sumiennością.

Mapa ta zaciekawić musi każdego polaka. Ujrzy na niej bowiem plastycznie, jak wyobrażano sobie nasz kraj, znajdzie niewątpliwie wiadomość o rzeczach, które czas pogrążył w niepamięć.

Publikacja o prasie zajmującej się prasą

Stanisław Jarkowski, dyrektor „Informacji prasowej polskiej", autor licznych prac historycznych i rejestratorskich, dotyczących prasy, powziął śmiałą inicjatywę zobrazowania wszystkich wysiłków syntetyzujących ujęcie wiadomości o pismach, wydawnictwach, publikacjach, zajmujących się prasą na całym świecie. Był to wysiłek nielada, gdyż dotychczas nie zrobiono nietylko u nas, ale i zagranicą żadnego kroku w celu zsyntetyzowania wiadomości o prasie prasy. Stanisław Jarkowski wywiązał się z trudnego zadania bardzo dobrze. Na niewielkiej przestrzeni, bo spotrzebował tylko 64 stronice druku, dał genezę historyczną i rozwojową. Wiek XIX i XX stanowią jednak właściwe źródło ciekawych usiłowań ujęcia rwącego prądu publicystyki, obsługi informacyjnej, bibliograficznej w stałe usystematyzowane przeglądy prasy oraz informowanie o tej prasie.

Publikacja Stanisława Jarkowskiego ukazała się nakładem „Towarzystwa Wyższej Szkoły Dziennikarskiej", jako tomik ósmy „Bibljoteki prasowej polskiej".



CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, ½ 300.—, ¼ 150.—, ⅛ 75.—
„ III „ 450.—, ½ 225.—, ¼ 112.50
„ IV „ 600.—, ½ 300.—
Za tekstem . . . . . Zł. 600.—, ½ 300.—, ¼ 150.—

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Czytajcie" Krak.-Przedm. 60, telefon 210-00.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., kwart. 18.— zł., półr. 34.— zł., rocznie 68 zł., z odnoszeniem do domu mies. 6.50 zł., kwart. 19.50 zł., półr. 37.— zł., rocznie 74.— zł., na prowincji mies. 7.— zł., kwart. 21.— zł., półr. 40.— zł., rocznie 80.— zł. Zagranicą mies. 9.— zł., kwart. 27.— zł., półr. 52.— zł., rocznie 104.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

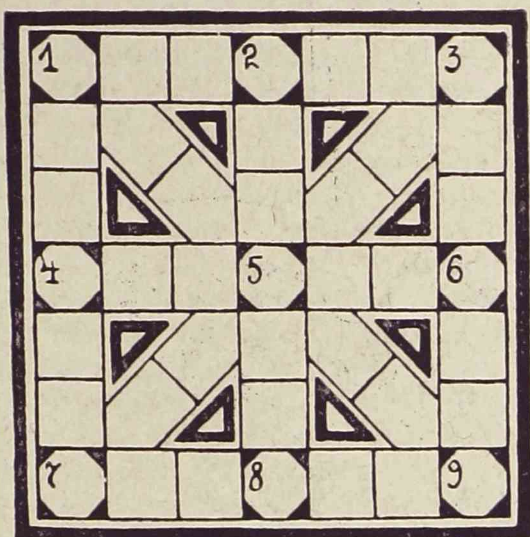
CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł. 40 gr.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 16 (119) Czteroliterówka

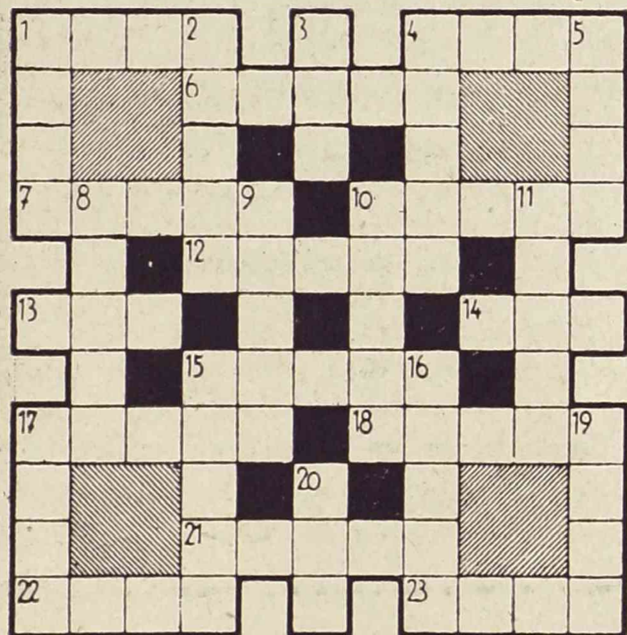
(Za rozwiązanie 2 punkty).



Znaczenie wyrazów: 1—2. Miasto w Polsce, 23. Zwierzątko futerkowe, 4—5. Zasada artystyczna, 6—5. Figura geometryczna, 7—8. Imię żeńskie, 8—9. Część świata, 1—4. Miasto na Kaukazie, 4—7. Rzeka w Polsce, 2—5. Pieniądz staropolski, 8—5. Imię biblijne, 3—6. Postać mitologiczna, 6—9. Rzeka w Europie, 1—5. Władca, 3—5. Metal, 7—5. Prawo gościnności, 9—5. Wezwanie.

№ 17 (120) Krzyżówka

(Za rozwiązanie 3 punkty).

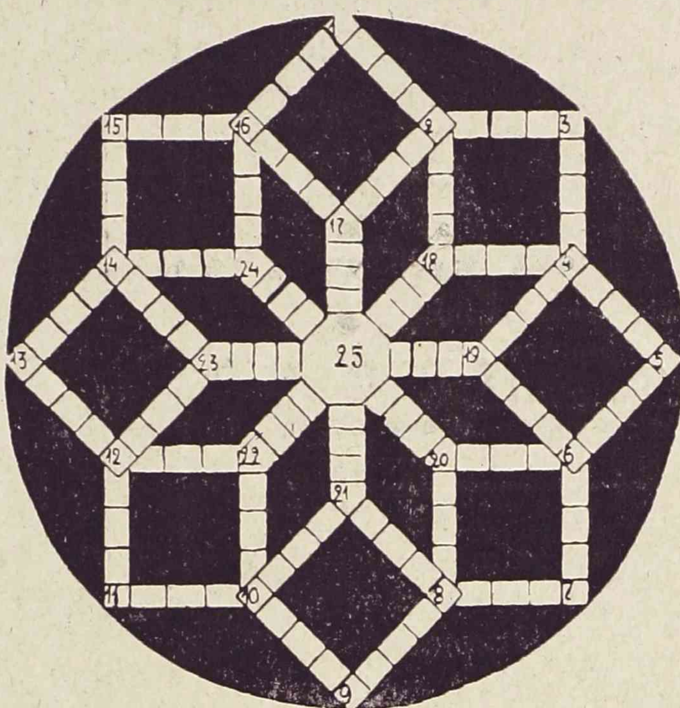


Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Napój, 4. Rzeka na Kaukazie, 6. Miasto w Polsce, 7. Przyrząd mierniczy, 10. Miasto w Polsce, 12. Kwiat, 13. Rzeka w Europie, 14. Jednostka fizyczna, 15. Pierwiastek chemiczny, 17. Pieniądz staropolski, 18. Bogacz, 21. Grupa społeczna, 22. Opera Verdiego, 23. Rzecz nietykalna.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Okres nauki, 2. Imię żeńskie, 3. Miasto w Finlandji, 4. Barwa, 5. Imię biblijne, 8. Wyspa w Europie, 9. Znany multimiljoner amerykański, 10. Miejscowość, słynna bitwą farncusko-pruską w roku 1870-ym, 11. Rodzaj pojazdu egzotycznego, 15. Boginka losów, 16. Święto żydowskie, 17. Miasto w Rosji, 19. Miasto w Rosji, 20. Owad.

№ 18 (121) Gwiazda geograficzna

(Za rozwiązanie 5 punktów).



Znaczenie wyrazów: 1—2. Część jednej ze stolic naddunajskich, 2—3. Stolica państwa azjatyckiego, 3—4. Miasto w Japonji (wspak), 4—5. Zamek casrki w Moskwie, 5—6. Stolica Nigarji, 6—7. Stolica państwa europejskiego, 7—8. Stolica kolonji francuskiej w Afryce, 8—9. Miasto w Polsce, 9—10. Miejscowość klimatyczna w Tyrolu, 10—11. Miasto w Niemczech (wspak), 11—12. Miasto w woj. Stanisławowskiem (wspak), 12—13. Kolonja francuska w Afryce, 13—14. Kraj w Afryce, 14—15. Stolica Transjordanji, 15—16. Kraj w Azji, 16—1. Miasto w płd.-zach. Kraju Przylądkowym; 2—17, Miasto na Pomorzu. 2—18. Miasto w woj. łódzkiem, 4—18. Miasto w Rosji, 4—19. Miasto na Wołyniu, 6—19. Miasto w woj. lwowskiem, 6—20. Kolonja angielska w Afryce, 8—20. Miasto w woj. warszawskiem, 8—21. Miasto w Estonji, 10—21. Jezioro w Szwajcarji (wspak), 10—22. Jedno z państw arabskich, 12—22. Miasto w woj. Stanisławowskiem, 12—23. Mieszkaniec jednego z państw skandynawskich, 14—23. Miasto na Węgrzech, 14—24. Wyspa na Morzu Śródziemnem (wspak), 16—24. Miasto w Niemczech, 16—17. Zamek królewski w Krakowie (swpak); 17—25. Miasto w Polsce, 18—25. Miasto w woj. białostockiem, 19—25. Miasto w woj. lwowskiem, 20—25. Miasto w woj. poznańskiem, 21—25. Miasto w woj. warszawskiem, 22—25. Miasto w woj. krakowskiem, 23—25. Miasto na Wołyniu, 24—25. Miasto w woj. warszawskiem.

Rozwiązanie zadań z № 5-go

Trafne rozwiązania nadesłali: pp. Boguszewska Irena (4), Bojarski Tadeusz (7), Herbstmanówna Dorota (7), Jarkowska Aurelja (4), Kicińska Stefanja (7), Klimczak Roman (7), Kozołwski Czesław (7), Mikowska A. (7), Roykiewicz Wacław (7), Sławnicki Michał (7), Stratelato Jan (7), Sułkowska Leontyna (7), Tietz Zygmunt (7), Uklański Aleksander (7), Wiśniewska Teofila (7), Zagajewski Adam (3), Zborowska Teresa (7), Żukowska Irena (7) — *z Warszawy*, oraz

pp. Aleksandrowicz Jan (7) — ze Lwowa, Bugajska Marja (7) — z Kłobucka, Dorszewski Rudolf (4) — ze Świecia, Głaziński Aleksander (4) — z Mińska Mazowieckiego, Grodzicki Józef (7) — z Brześcia n/B., Iwańczykowa Marja (7) — z maj. Siernicze Wielkie, Janicka Zofja (7) — z Grudziądza, Jurkiewicz Eugenjusz (3) — z Wilna, Kowalska Marja (3) — z Włodzimierza, Krauze Józef (7) z Żyrardowa, Krupińska Aniela (3) — z Łodzi, Kwiekowa Jadwiga (7) — z Cukrowni „Dobrzelin", Lemański Zygmunt (7) — z Wilna, Linderski Marjan (7) — ze Lwowa, Ludwicki Henryk (4) — z Zagożdżona, Łukasiewicz Michał (7) — z Białegostoku, Makowski Ignacy (7) — z Grodna, Malinowski Stefan (7) — ze Lwowa, inż. Modrzejewski Józef (7) — z Lublina, Mokrzycka Helena (7) — z Drohobycza, „Maryśka z Pohulanki" (7) — z Wilna, Morawski Józef (7) — z Bielska, Moszczyński Edward (7) — z Szamotuł, Olszewska Irena (7) — z Dublina, Petrych Jan (7) — z Wronek, Piracki Zygmunt (4) — z Wilna, Radomski Michał (7) — z Łodzi, Rakowiecka Helena (7) — z Lublina, Sawicka Karolina (4) — z Białegostoku, Skupińska Marta (7) — z Zamościa, Sokulski Władysław (7) — z Katowic, Sołecki Michał (4) — z Wołomina, Sosnowski Kazimierz (7) — z Katowic, Szeliga Barbara (7)—z Siedlec, Tarnowski Władysław (7) — z Grodziska, Tobias Henryk (7) — z Kielc, „Tolek z Królewszczyzny" (7), Zakrzewski Leon (7) — z Kalisza, Zawadzka Anna (4) — z Ciechanowa.

NAGRODY KSIĄŻKOWE wylosowano dla:

p. *Marjana Linderskiego* ze Lwowa i
p. *Barbary Szeliga* z Siedlec.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P